ISSN 0137-3503

PŁOMYK 23 1984

NUMER NA STOPIEŃ

Rok już ma się ku końcowi. Pora na składanie Życzeń Świątecznych i Noworocznych. Oprócz życzeń najbardziej ogólnych: wszelkiej pomyślności w domu i w szkole, na wsi i w mieście, w kraju i na świecie – chcielibyśmy też złożyć Wam nasze wewnętrzne, Płomykowe Życzenia. Życzymy Wam (no i sobie), żeby chciało się Wam nadal utrzymywać znajomość z „Płomykiem", żebyście znajdowali w piśmie jak najwięcej do poczytania i do pomyślenia. Tegorocznym prezentem dla Czytelników było zwiększenie nakładu „Płomyka" i poprawienie punktualności ukazywania się pisma. Wielka w tym zasługa Pracowników Zakładów Graficznych „Dom Słowa Polskiego".

Chcemy w przyszłym roku podnosić nie tylko nakład (jeśli starczy papieru), ale i redakcyjną poprzeczkę, starając się, żeby „Płomyk" jeszcze lepiej trafiał w Wasze – zresztą bardzo zróżnicowane – gusty i zapotrzebowania. W tym celu co pewien czas badamy Wasze opinie o „Płomyku" i właśnie ten numer postanowiliśmy poddać sondażowi.

A więc STAWIAJCIE STOPNIE (od 2 do 5) artykułom, opowiadaniom i felietonom, ilustracjom graficznym i fotografiom oraz stałym działom. Jeśli ktoś chce tylko wskazać, co mu się najbardziej, a co najmniej podobało – zmieści swą ocenę na pocztówce. Kto zaś chciałby wypowiedzieć się szerzej, ocenić nie tylko ten numer, ale i dawniejsze oraz wskazać, czego mu brak w piśmie – niech napisze obszerny list. Takie listy z ocenami (również surowymi!) – to dla nas cenny PREZENT POD CHOINKĘ, który Wam będzie procentować w przyszłym roku. Czekamy więc na listy z dopiskiem: „Numer na stopień". *(red.)*

NA OKŁADCE:
Pani Władysława Nawieśniak wśród uczniów (do art. na str. 4)
Fot. kolor. CAF – Stanisław Momot

Rajd 40-lecia

Nie zapomnijcie o Strzelinie!

Piszę do Was z prośbą, żebyście w czasie Rajdu 40-lecia nie zapomnieli o Strzelinie, małym miasteczku w województwie wrocławskim. Jako mieszkanka Strzelina chciałabym opowiedzieć, co się u nas dzieje. Ale najpierw parę wiadomości sprzed 40 lat.

Strzelin został wyzwolony w kwietniu 1945 r. Kilkakrotnie przechodził z rąk do rąk, toteż osadnicy polscy, którzy tu właśnie przybyli, zastali przede wszystkim ruiny i zgliszcza. Prędko jednak zabrano się do pracy i wkrótce podjęła pracę cukrownia, uruchomiono kamieniołomy, stanęły nowe domy mieszkalne. Strzelin rozrósł się, stał się jednym z ważnych ośrodków Dolnego Śląska. Ciągle brakowało mu tylko jednego: troski o nieliczne, choć cenne, zabytki.

Ale ku radości strzelinian rozniosła się ostatnio wieść, że nastąpi w tej dziedzinie poprawa. Mówi się o odbudowie XV-wiecznej kaplicy przyszpitalnej. Trzeba ją będzie niemal od nowa budować według starych planów. Ale najważniejszym wydarzeniem było pojawienie się rusztowań przy bardzo zaniedbanej chlubie dawnego Strzelina – Rotundzie Św. Gotarda z XIII w. Jeszcze w latach pięćdziesiątych zjeżdżali tu studenci archeologii, aby badać ten zabytek kryjący w sobie pamiątki sięgające X w. Później smutne były rotundy losy: przez wiele lat stała nie zabezpieczona, niszczała gubiąc resztki dawnej dumy i godności. A przecież właśnie tu aż do XVII w. w tym mieście, będącym wówczas pod niemieckim władaniem, kazania wygłaszane były po polsku. Stąd też rotundę nazywano „polskim kościołem", co tylko przydawało jej blasku. I dopiero teraz ktoś sobie o niej przypomniał.

Ale w Strzelinie nie tylko o zabytkach się myśli. Wkrótce ma u nas stanąć nowa szkoła podstawowa, rośnie kilka nowych bloków mieszkalnych. My, młodzi mieszkańcy, też mamy pewien wkład w rozwój naszego miasta. Ostatnio harcerze zorganizowali z okazji dożynek loterię fantową, której cały dochód przeznaczony został właśnie na budowę szkoły.

Wiele się w moim mieście zmienia na lepsze. Wprawdzie jest jeszcze kilka spraw do załatwienia, jak na przykład renowacja pozostałych zabytków (do odnowienia został jeszcze piętnastowieczny pałac książąt brzeskich i ratusz z XVII w.) czy też dokończenie budowy basenu miejskiego (budowa ta trwa już kilka lat), ale biorąc pod uwagę dotychczasowe zmiany, jestem optymistką.

Agata Kowalska
ze Strzelina

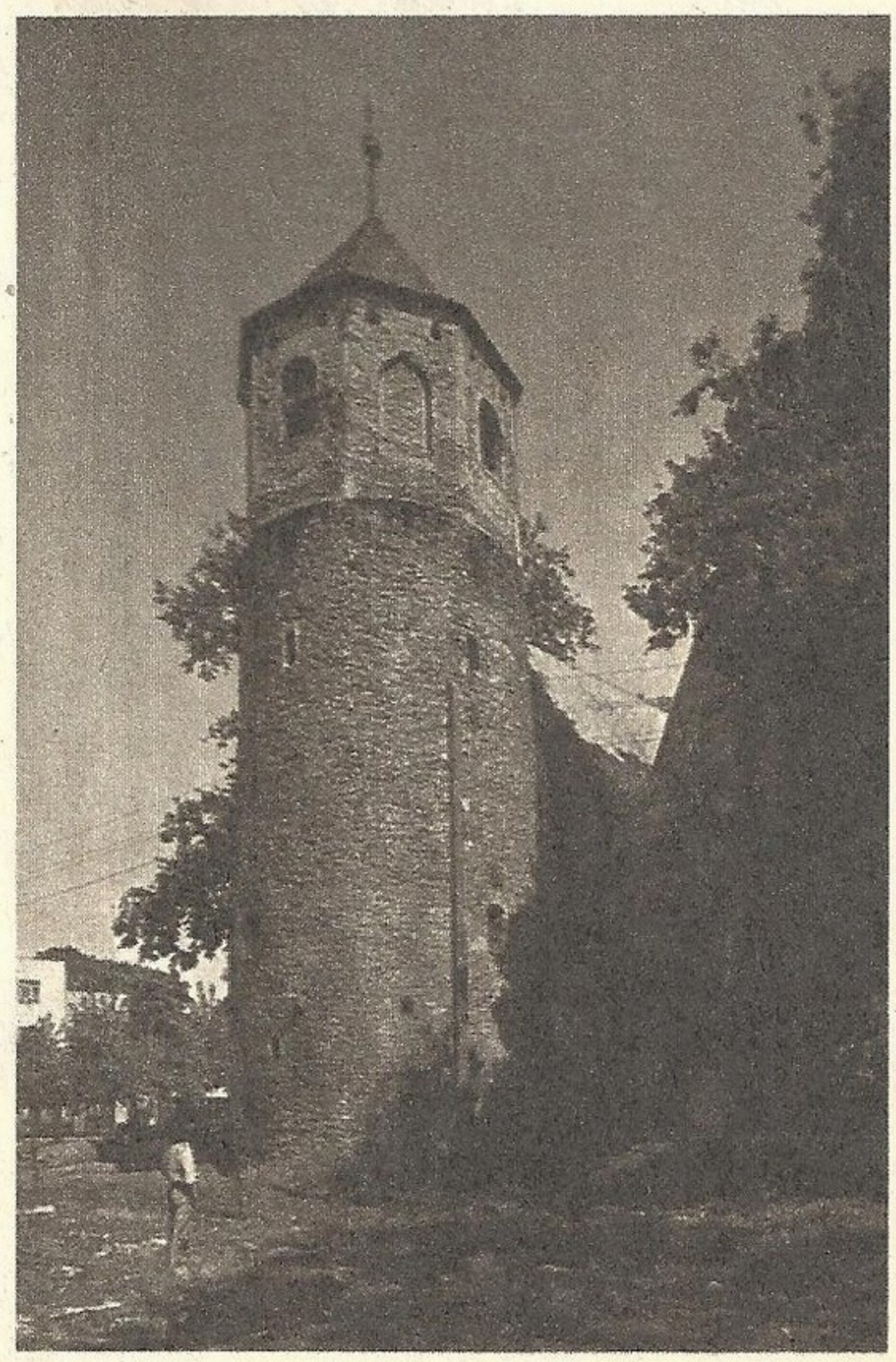

Tak wyglądała jeszcze do niedawna Rotunda św. Gotarda w Strzelinie

„Płomyk" wydawany jest
przez Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Włodzimierz Barchacz (fotoreporter)
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)
Izabella Żur (redaktor techniczny)

RADA REDAKCYJNA
Waldemar Andrzejewski
Krystyna Czernikiewicz
Marek Fiedorow
Zdzisław Kazimierczuk
Jerzy Kowalski
Mikołaj Kozakiewicz (przewodn.)
Ewa Nowacka
Zdzisław Nowak
Julian Radziewicz
Janina Solak
Magdalena Tyszka

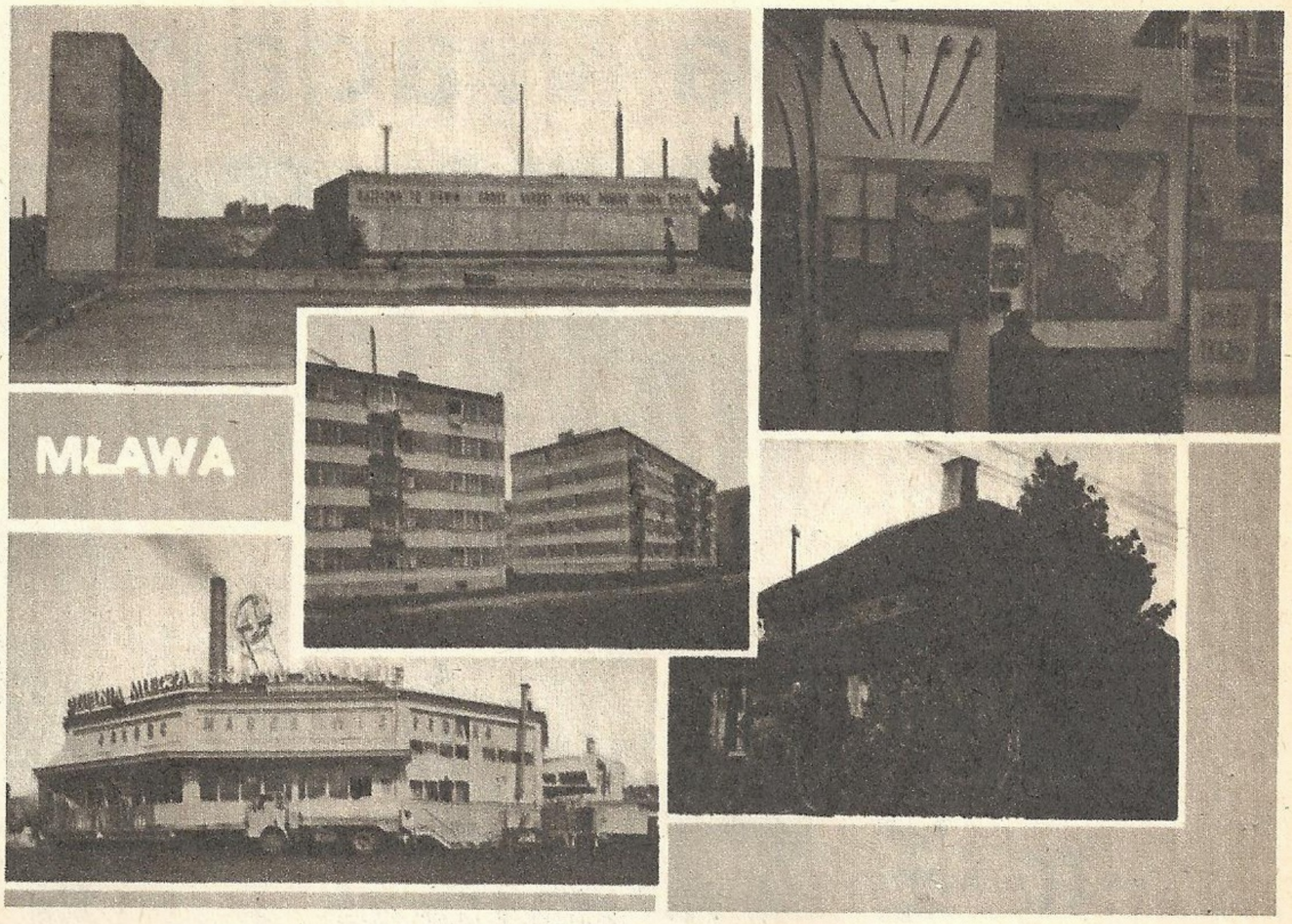

Pocztówka z Mławy

Mój Wrocław

Mój rodzinny Wrocław jest miastem zabytkowym. Do najpiękniejszych zabytków należą: Ratusz, Katedra, zresztą cały Ostrów Tumski to zabytek, a wszystko to można obejrzeć, wsiadając do zabytkowego tramwaju o nazwie „Jaś i Małgosia", który obwozi po całym Wrocławiu.

Wrocław jest miastem kwiatów. Najpiękniejsze można kupić na placu Solnym. We Wrocławiu każdy skrawek ziemi jest wykorzystany do sadzenia kwiatów i drzew.

Moje miasto stale się rozbudowuje (Wrocław był po Warszawie drugim najbardziej zniszczonym przez wojnę miastem w Polsce). Ostatnio we Wrocławiu został wybudowany nowy wojewódzki szpital imienia 40-lecia PRL.

Jeżeli ktoś przyjedzie do mego rodzinnego miasta, to polecam obejrzeć nie tylko zabytki, ale także ZOO prowadzone przez państwa Gucwińskich, znanych z programu „Z kamerą wśród zwierząt", a także ogród botaniczny, park Szczytnicki, można także iść do jednego z kin, których jest we Wrocławiu bardzo dużo, największe to „Śląsk", „Warszawa" i „Przodownik". Po kinie zapraszam na pyszne lody na ul. Komandorskiej, choć zawsze są długie kolejki – to jednak warto stanąć. Wracając do swojego miasta, można kupić naszą popołudniową gazetę „Wieczór Wrocławia".

Rozpisałam się, ale cóż poradzę, kiedy bardzo lubię swoje miasto.

Ilona Mikołajczyk

P.S. Nic nie szkodzi! – Skróciliśmy.

Przedstawia się Mława

Drugie co do wielkości miasto w woj. ciechanowskim, Mława (ok. 25 tys. mieszkańców) obchodzi swoje 555-lecie. W porównaniu z wiekiem innych miast nie jest to dużo, ale na pewno i niemało. Jednym z najważniejszych wydarzeń w nowej historii Mławy była bitwa, która rozegrała się w pierwszych dniach września 1939 r. z nacierającymi od północy wojskami niemieckimi. Żyje tu jeszcze wielu ludzi, którzy doskonale pamiętają i wspominają tę krwawą bitwę oraz tragiczne lata okupacji. Zginęło wówczas ok. 5 tys. mieszkańców naszego miasta: znajdowały się tu trzy obozy pracy przymusowej; w lesie Białuty koło Mławy w latach 1941–45 zamordowano 12 tys. więźniów z obozu w Działdowie (m. in. 60 księży). W przeddzień wyzwolenia, 17.I.1945 r. hitlerowcy rozstrzelali 320 osób; w 1967 r. odsłonięto pomnik-mauzoleum ku ich czci.

–Ale Mława – to nie tylko przeszłość i historia. Jej mieszkańcy żyją przede wszystkim dniem dzisiejszym. Gospodarze miasta troskliwie się nim opiekują. Obecnie zajęto się założeniem gazu ziemnego dla większej części miasta. Mława wciąż się rozbudowuje. Powstają nowe osiedla (m. in. Osiedle Młodych), pod lasem wyrastają szeregi domków jednorodzinnych (część z nich jest budowana w tzw. stylu zakopiańskim). Kilka lat temu były tu puste pola.

Mława ma 6 szkół podstawowych, kilka szkół średnich (m. in. szkołę, jakich jest niewiele w kraju – Technikum Hotelarskie).

W moim mieście znajdują się też dwa stadiony sportowe, ale z jednego się nie korzysta (dlaczego? – pytanie redakcji), obecnie trwa budowa wielkiej hali sportowej, co niestety, nie idzie w zbyt szybkim tempie. W przyszłości ma też powstać kryta pływalnia. Obawiam się jednak, że my już nie zdążymy z niej skorzystać.

Mława znajduje się na międzynarodowej trasie E-81 i jest chętnie odwiedzana przez turystów. Ale prawdę mówiąc, dworce mławskie nie znajdują się w najlepszym stanie i władze miasta powinny postarać się o ich ulepszenie.

Podróżni przejeżdżający przez Mławę mogą zatrzymać się w hotelu „Relaks". W budowie znajduje się też nowy hotel w samym centrum miasta. 3 km od Mławy rozciąga się Zalew na Rudzie z dość ładną okolicą. Choć nie zawsze woda jest tam czysta, to w upalne dni zalew przyciąga tłumy ludzi.

Mieszkańcy Mławy dbają o to, aby miasto miało dużo zieleni, ale jest jej wciąż jeszcze za mało.

Zaledwie parę spraw dotyczących mojego miasta zdołałam przedstawić. Aby było ono coraz piękniejsze i zadowalało swoich mieszkańców, trzeba włożyć jeszcze dużo pracy. Wiele też zależy od nas – od młodzieży.

Iza Szczypińska z Mławy

Szczególnie w „uzielenianiu" miasta moglibyście wykazać swoją dobrą wolę. Może takim właśnie społecznym czynem wzruszycie władze miasta i budowa sportowych obiektów zostanie przyspieszona. Gdyby młodzież mławskich szkół zaproponowała miastu, że zajmie się zielenią – to może zapracowane w ten sposób fundusze ułatwiłyby przyspieszenie budowy hali sportowej i pływalni? Niech szkolne samorządy uczniowskie porozumieją się ze sobą, a następnie zaproszą kogoś z radnych na negocjacje. Życzymy Ci kąpieli w nowej pływalni jeszcze przed maturą!

red.

Dlaczego nie poszła na wagary?

Spotkanie z Władysławą Nawieśniak laureatką zeszłorocznej „Szkarłatnej Róży"

Pani Władysława Nawieśniak, dyrektorka szkoły w Rabie Niżnej, miała w czerwcu tego roku pożegnać się z nauczycielskim zawodem, po 33 latach pracy – przejść na emeryturę.

Spełniłaby gorące życzenie własnych dzieci i wnucząt, żeby mama i babcia wreszcie była w domu, wyłącznie dla nich. Spełniłaby też swoje ciche, a od pewnego czasu coraz gorętsze pragnienie, żeby przed ósmą rano, zamiast obowiązkowo do szkoły – iść... na wagary. Móc sobie pochodzić po górach i lasach. Odpocząć.

Już była o krok od upragnionej „wolności", gdy oto w połowie maja – ku swemu zaskoczeniu – dowiedziała się, że na wniosek uczniów otrzymała Płomykową Odznakę – „Szkarłatną Różę". Radości towarzyszyło jednak zakłopotanie:

– Nie wypada przecież, otrzymawszy od uczniów taki piękny prezent, najmilszy sercu dowód ich sympatii i uznania, zrobić w tył zwrot. No, po prostu, nie wypada!

Postanowiła, że zostanie jeszcze w szkole, ale już bez dyrektorskich obciążeń; te obowiązki przejmie młodszy kolega. Decyzja sprawiła jej ulgę, bo nauczycielowi wcale niełatwo odejść ze szkoły. Przecież zawsze znajdzie się klasa, która człowieka jakoś szczególnie mocno trzyma. Panią Władysławę zatrzymali w szkole uczniowie z klasy V.

– Nareszcie będę miała dla nich dużo czasu. Nareszcie sobie pouczę! – mówi z entuzjazmem i dodaje przezornie – o ile mi zdrowie pozwoli.

Pani Władysława miała poważne kłopoty ze zdrowiem pod koniec minionego roku szkolnego. Dlatego też nie mogła być obecna w Redakcji „Płomyka" na czerwcowym spotkaniu Laureatów „Szkarłatnej Róży". Wylądowała na dłuższy czas w szpitalu. Tak się skończyło zlekceważenie wiosennej grypy.

W końcu sierpnia wpadłam do Raby Niżnej, aby osobiście poznać nauczycielkę, „dzięki której szkoła tętni życiem" – jak napisali jej uczniowie w liście z prośbą o Szkarłatną Różę. W sierpniu oczywiście szkoła gwarem nie tętniła, choć abdykująca dyrektorka miała pełne ręce roboty. Właśnie przekazywała majątek szkolny i dokumentację swojemu następcy, załatwiając równocześnie mnóstwo bieżących spraw.

Chciałam z naszą Laureatką, doświadczonym pedagogiem, porozmawiać o trudach i urokach nauczycielskiego zawodu. A że pogoda była piękna – zamiast siedzieć w szkolnych murach, wyruszyłyśmy razem...na wagary. Spodziewałam się, że w sierpniowym skwarze upiekę swoją reporterską pieczeń! Ale nie w sierpniowym słońcu odbyła się nasza najważniejsza rozmowa, lecz pod gwiazdami, nocą, nad cicho szemrzącą Rabą – przy ognisku. Tu wspomnienia same się snuły.

Jak pan Waligóra...

Gdy zaczynała pracę w szkole w Olszówce koło Raby, była najmłodszą w powiecie limanowskim nauczycielką. Miała niewiele ponad 17 lat i długi warkocz; upinała go zmyślnie wokół głowy, aby sobie dodać powagi – była bowiem o 3 miesiące młodsza od pewnego przerośniętego siódmoklasisty.

– I ja byłam skrępowana, i on okropnie się mnie wstydził. Gdy wstawał do odpowiedzi, spuszczał głowę i tylko się rumienił. Miałam kłopot, bo jakże go ocenić, skoro nie puszcza pary z ust?

Radziła się starszych, doświadczonych kolegów, uczyła się od nich, jak kruszyć te mury, jak obalać bariery, które wyrastają między uczniem a nauczycielem. Ten pierwszy rok w szkole bardzo był trudny dla młodziutkiej nauczycielki.

– Ciągle mi zostawało za dużo czasu do końca lekcji. Temat zrealizowany – i co robić przez 15 minut, gdy dzieciaki wyrywają się z ławek? Opowiadałam im filmy, książki, anegdotki. Słuchały zachwycone, ale ja nie byłam z siebie zadowolona. Bo gdy przychodziło do odpytywania, to cisza w klasie jak makiem zasiał. Nieraz wracałam do pokoju nauczycielskiego zrozpaczona. Ciskałam dziennik na stół i płakałam ze złości, że te moje dzieci nic nie umieją! Co ja jestem warta, jeśli nie potrafię ich niczego nauczyć?

A kiedy już ochłonęła i usiadła, zastanawiała się, co robić. W domu czytywała podręczniki metodyczne, ale najwięcej jej pomógł, otaczając serdeczną koleżeńską opieką, pan Waligóra, kierownik szkoły w Rabie, gdzie kiedyś sama się uczyła, a potem wróciła „do swoich" jako nauczycielka. Podziwiany przez małą Władkę nauczyciel matematyki, dyskretnie czuwał teraz nad jej pierwszymi krokami w zawodzie. Marzyła, żeby zasłużyć na jego pochwałę, tym bardziej że kiedyś, jako uczennica, zwróciła już na siebie uwagę tego nauczyciela, ale w dosyć kompromitujących okolicznościach.

– Była przerwa, grandziliśmy w klasie, obrzucając się papierowymi kulami. Ja (dobre ze mnie ziółko było) nasypałam do swoich kulek popiołu i chciałam przygrzmocić jednemu chłopakowi, który mi ciągle dokuczał. Zamachnęłam się, wycelowałam, ale kolega uchylił się sprytnie i moja kulka wylądowała na nosie kierownika szkoły, który właśnie stanął w otwartych drzwiach klasy. Nogi się pode mną ugięły, ale głowy nie straciłam: przepraszam go, kajam się, błagam o przebaczenie. A Waligóra popiół z nosa spokojnie strzepnął, spojrzał na mnie z politowaniem i niby-groźnym głosem powiada:

– Będziesz ukarana, będziesz klęczeć.

– Tylko niech pan nie mówi mojej mamie – proszę.

– A po co mam mówić? – zdziwił się szczerze. – To jest przecież sprawa tylko między nami! A teraz marsz do kąta!

Odklęczałam swoje bez cienia buntu, szczęśliwa, że tak to się skończyło i pewna, że się mama nie dowie. Pewna, bo ten nauczyciel zawsze dotrzymywał słowa.

Tak właśnie Józef Waligóra załatwiał sprawy z uczniami. Spokojnie, od ręki, w szkole, bez absorbowania rodziców. Jeśli miał do ucznia czy do klasy jakieś pretensje, to się go słuchało bez buntu, z pełnym przekonaniem, że Pan ma rację. Zawsze miał proste, oczywiste argumenty, które do nas trafiały, i nie czepiał się drobiazgów.

Na lekcjach matematyki słuchaliśmy oczarowani, gdy wprowadzał nowy temat, takie to było ciekawe. Miał dar jasnego tłumaczenia i ogromną dla nas cierpliwość. Uczniowskiej niewiedzy nie karał zaraz dwójami. On miał ambicję każdego nauczyć i tłumaczył, jeśli trzeba było, spokojnie, bez krzyków i wypominań, aż do upadłego, aż każdy zrozumiał. Cieszył się i głośno śmiał, kiedy już wszystkim w klasie rozjaśniło się w głowach. „No, widzicie? – mówił triumfująco – jakie to proste?" Myśmy też się cieszyli. Obserwowałam go i widziałam, że mu ta praca z dziećmi sprawia ogromną przyjemność.

Darzyliśmy go prawdziwą sympatią. Ciągle był otoczony dzieciakami, które chciały być b l i s k o Pana. Porozmawiać z nim, a choćby się tylko uśmiechnąć. Chyba właśnie wtedy nieśmiało sobie pomyślałam, że i ja chciałabym być nauczycielką.

Pamiętam, co się działo, kiedy wrócił do Raby po wojnie. Poszedł we wrześniu walczyć, a całą wojnę przemęczył się w hitlerowskich obozach. Wrócił z tułaczki wycieńczony, wyniszczony tyfusem.

Niezwykłe mu wieś zgotowała przywitanie. My, uczniowie, szorowaliśmy tę naszą dwuizbówkę. I ściany, i drewniane podłogi w klasach i na korytarzu lśniły od czystości. Dojście do szkoły wyłożone było gałązkami jedliny. Rodzice naznosili darów: jajek, kur, masła, królików, miodu – co kto mógł. Cała wieś przyszła w tym dniu pod szkołę, były śpiewy i uczniowskie deklamacje, i miejscowi poeci odczytywali swoje wiersze, pisane „na powrót nauczyciela". Była radość i łzy wzruszenia. I pan Waligóra płakał też.

Szanowali go ludzie, bo wszystkim był życzliwy. A poza tym „swój". On tu w Rabie zaczynał nauczycielską pracę i tu ją skończył. Ponad 50 lat w jednej szkole! On ją rozbudował, wzbogacił, wyposażył w pomoce naukowe. Zabiegał o to, aby atmosfera tu była domowa, serdeczna. Myślę, że ten klimat, stworzony przez niego, my, następcy, potrafiliśmy utrzymać.

Dziś „Mój Nauczyciel" liczy sobie 84 lata. Czasem odwiedza naszą szkołę. Witamy Go jak najmilszego gościa. A ludzie ze wsi nisko mu się kłaniają...

Twarda szkoła pani Stempowej

Pan Waligóra w jednej szkole spędził pracowite nauczycielskie życie, pozostawiając po sobie wdzięczną pamięć kilku pokoleń rabiańskich uczniów.

Pani Władysława jadała nauczycielski chleb z niejednego pieca.

Pracowała i u siebie w górach, ale i „na nizinach", zdobywając coraz to nowe doświadczenia, poznając różnych niezwykłych nauczycieli.

Tylko dwa lata spędziła w Inowrocławiu, ale taką tam dostała twardą szkołę nauczycielskiego fachu, że ją wspomina, zresztą dobrze wspomina, do dziś.

Kierowniczka szkoły, pani Maria Stempowa, niezwykle ofiarna i pracowita, nic więcej poza dziećmi i szkołą nie widziała. Bez mała od świtu do nocy była w szkole i takiej samej postawy wymagała od swoich nauczycieli. Zasada, że jak coś m u s i być zrobione, to każdą przeszkodę trzeba pokonać, tam właśnie weszła pani Władysławie w krew.

Zależy mi na tym, żeby uczniowie lubili biologię

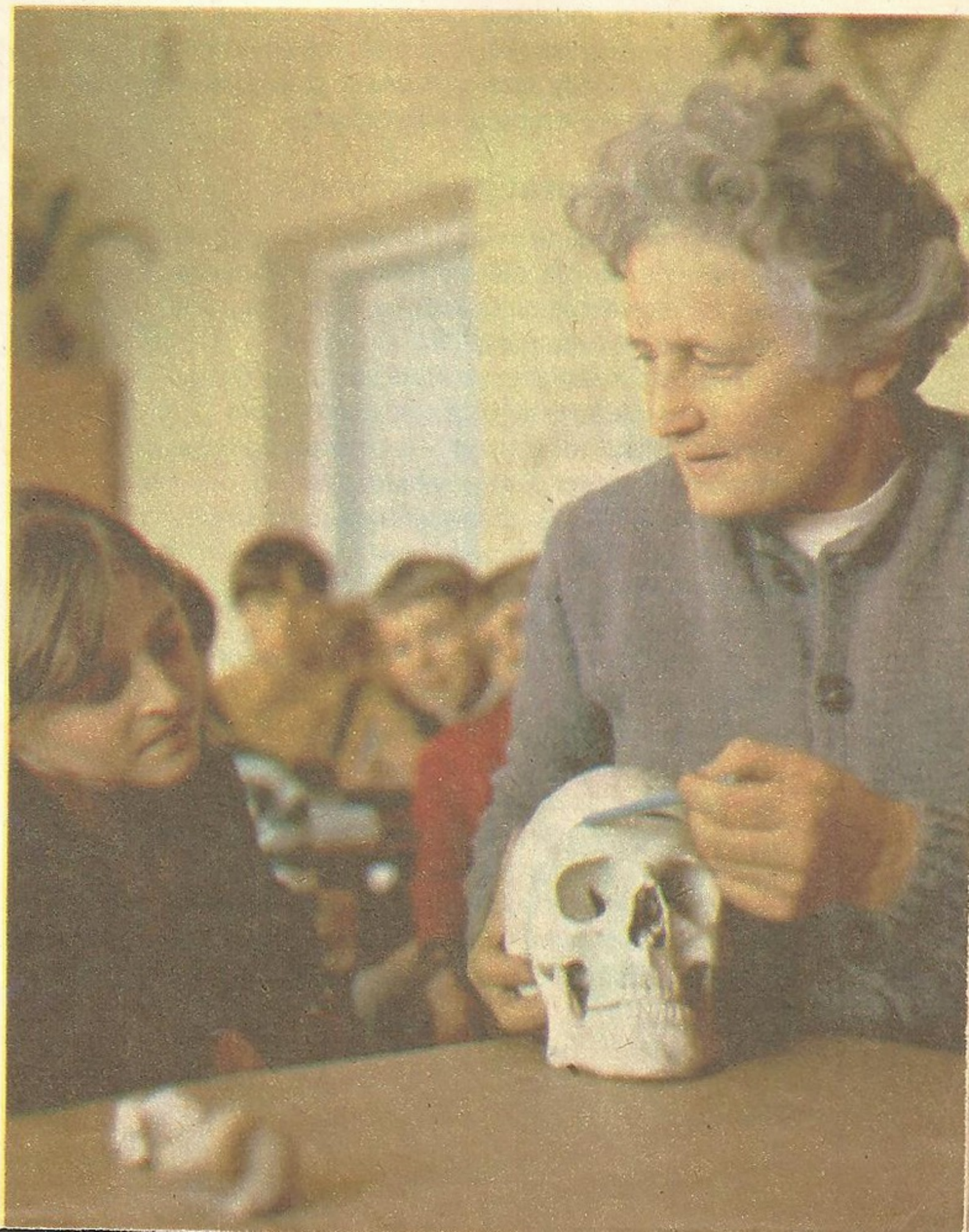

W ogóle w tej szkole obowiązywały zasady proste i niepodważalne, np. że lekcja trwa dokładnie 45 minut, a przerwy międzylekcyjne muszą być spędzane zawsze i przez wszystkich uczniów na boisku. Że uczniowskie zeszyty m u s z ą być zawsze starannie sprawdzane przez nauczyciela. Że w szkole m u s i być tak porządnie i czysto, jak w rodzinnym domu, a nawet jeszcze czyściej. W tej szkole wszystko chodziło jak w zegarku.

– Te rozmaite musy i rygory trochę mi ciążyły – wspomina pani Władysława. – Nie była to szkoła „na luzie". A jednak lubili ją nauczyciele i uczniowie. Bo były tu też inne zasady obowiązujące: uśmiech i pomoc dla ucznia, a z drugiej strony – szacunek dla nauczyciela. A co najważniejsze: w tym ładzie i dyscyplinie osiągało się piękne wyniki nauczania. I to dawało satysfakcję i nauczycielom, i uczniom. Byli dumni ze swojej szkoły.

Właśnie z tamtej szkoły pani Władysława wyniosła również przekonanie, że nauczyciel nigdy nie może mieć tzw. świętego spokoju, nigdy nie może sobie powiedzieć: ja zrobiłem wszystko, jestem w porządku. Zawsze musi chcieć lepiej i zawsze musi go trawić niepokój, co zrobić, żeby było lepiej. A przecież każda lekcja, każdy uczeń sprawia co chwila jakąś niespodziankę. Na wszystko trzeba znaleźć receptę.

Jak być sprawiedliwym?

Może nie wypada pytać Laureatki „Szkarłatnej Róży" o błędy, jakie popełniała, ale spytałam. Pani Władysława przyznała się, że niejeden ma na sumieniu i... niejedną noc z tych powodów nie przespaną.

Była przez wiele lat dyrektorką szkoły w Ostrowi Mazowieckiej. Pozostał jej z tamtych czasów dyplom „Zasłużonej dla województwa stołecznego" oraz odznaka „Przyjaciel Dziecka". Wspomina jako słuszną, ale bardzo trudną, decyzję zatrzymania w szkole kilku chłopców, którym za kradzieże i chuligańskie wybryki groził poprawczak. Dzięki niej nie poszli do poprawczaka. Skończyli szkołę, nie zdemoralizowali, jak się obawiano, reszty młodzieży i sami się nie zmarnowali.

Ale w tej samej szkole, choć nieco wcześniej, powzięła pani Władysława decyzję, która okazała się krzywdząca. Chłopcy w klasie siódmej podcięli kiedyś nogi krzesła i wielką mieli radość, gdy nauczycielka przewróciła się. Oczywiście, oburzenie nauczycieli, dochodzenie: – kto? dlaczego? – rada pedagogiczna. Podejrzenie padło na Zygmunta, nauczyciele zażądali karnego przeniesienia ucznia do innej szkoły. Stało się. Pani dyrektor usiłowała dociec prawdy, bo nie całkiem była pewna winy chłopca. Jednak Zygmunt wziął winę na siebie. Wyczuwała, że boi się kolegów i dlatego nie chce ich sypać. Ale w ten sposób sam odebrał jej argumenty do obrony. Po dwóch latach nauczycielka, która najgłośniej domagała się ukarania Zygmunta, usłyszała na ulicy rozmowę chłopców, wspomnienia z tamtej lekcji. Zygmunt nie miał nic wspólnego z tą całą hecą.

– Przykro mi do dziś – mówi pani Władysława – że tak pochopnie podjęliśmy tę niesprawiedliwą decyzję...

Ponieważ uczniowie często mają do nauczycieli pretensje właśnie o niesprawiedliwość, pytam panią Władysławę, czy to tak trudno być sprawiedliwym w ocenianiu?

– Wystawienie uczniowi oceny jest chyba najtrudniejsze w nauczycielskiej pracy. Ja ciągle, po tylu latach, prawie na każdej lekcji mam wątpliwości, czy słusznie oceniam, czy sprawiedliwie. Pytam takiego „cichutka-nieśmiałka", co to nigdy ręki nie podniesie. On duka, ja go ciągnę za język

W swojej 33-letniej pracy nauczycielskiej nigdy się nie znudziłam

wytrwale, wyciskam z niego wszystkie soki, żeby mu tę trójkę postawić. Bo wiem, że coś umie, a nie potrafi tego „sprzedać". A za chwilę całkiem dobry uczeń też niewiele umie, ale „śpiewa" w porównaniu z poprzednim. I jemu też stawiam trójkę, bo ja wiem, że jego stać na więcej, że się na dziś nie nauczył. On ma oczywiście pretensję, a inni też się dziwią, bo porównują, jak kto odpowiada. Tak więc we własnym odczuciu jestem sprawiedliwa, a w uczniowskim – niekoniecznie...

Z tymi odczuciami nie jest tak źle, skoro dzieci z Raby właśnie pani Władysławie przyznały „Szkarłatną Różę".

– Aż się dziwię – śmieje się Laureatka – bo nie jestem uosobieniem łagodności i spokoju; i nagadać potrafię, i pokrzyczeć też, niestety. Ale i pośmiać się lubię, pożartować, więc to się pewnie równoważy.

A tak naprawdę cieszy mnie, że moi uczniowie lubią mój przedmiot – biologię. M u s z ą lubić! Ogromnie mi na tym zależy.

Mistrzowie i uczniowie

– Pan Waligóra byłby chyba zadowolony ze swej wychowanki, Władki, gdyby się dowiedział, jak ją uczniowie wyróżnili? – Pytam panią Władysławę, gdy następnego dnia, w słoneczne popołudnie, wspinamy się stromą, kamienistą ścieżką na górę pod bacówkę.

– Na pewno – mówi moja rozmówczyni. – Muszę mu się wreszcie pochwalić i powiedzieć, że jest w tym i jego zasługa.

Zawsze starałam się go w mojej pracy naśladować. Jego i innych. Wiele zawdzięczam moim „Mistrzom" – Waligórze, Stempowej, Biedzie...

Stefan Bieda miał w sobie coś takiego, co go wyróżniało spośród wszystkich profesorów w Liceum Pedagogicznym w Limanowej. Może to, że traktował nas jak dorosłych, z którymi się poważnie rozmawia, a nie jak niedojrzałych uczniaków. Widział w nas przyszłych nauczycieli i obdarzał ogromnym zaufaniem. A to zachęcało i zobowiązywało. Wstyd było nie przygotować się do lekcji z pedagogiki i psychologii.

Był taktowny. Nigdy nie ośmieszył ucznia, nie wykpił, nie uraził. Miał ojcowski do nas stosunek i był otwarty na nasze sprawy. Interesował się nie tylko postępami szkolnymi, ale i osobistym życiem wychowanków. Był kierownikiem internatu, więc siłą rzeczy był nam bliższy niż inni profesorowie.

Pamiętam, jak on się przejmował, gdy dostałam kiedyś pieniądze z domu na nowy płaszcz, i pilnował, żebym sobie porządny materiał kupiła, żeby krawiec nie sknocił roboty. Niby drobiazg, ale pamiętam to do dziś.

Albo... Był taki Olek, który wystawał pod internatem i wołał: „Wyjdź, Władka! Wyjdź!" A ja nie chciałam z nim rozmawiać, bo on mi się nie podobał. Kiedyś tak sterczał ze dwie godziny pod oknem, a ja udawałam, że mnie nie ma.

Nagle wchodzi do pokoju prof. Bieda i mówi: „Idźże, Władziu, porozmawiaj z chłopakiem. Korona ci z głowy nie spadnie. Co to, nie wiesz, że on ma za kilka dni maturę? Jak już zda, to się zastanowisz, czy mu nie dać kosza. Ale przecież nie teraz!"

Jak on potrafił zrozumieć nasze młodzieńcze sprawy, jak wyczuwał nasze myśli i nastroje...

Miałam nie tak dawno przykre doświadczenie. Pytam na lekcji chłopca:

– Dlaczego nie byłeś w szkole?

– Bo nie mogłem – odpowiada niezbyt grzecznie.

– To nie jest tłumaczenie. Gdzie byłeś? – naciskam.

– W Krakowie – bąknął niechętnie.

– A po coś ty tam pojechał? – drążę dalej.

– Odwiedziłem tatusia w szpitalu – mówi cicho.

A mnie ciągle mało. Babska ciekawość popycha mnie jeszcze dalej i pytam:

– Co jest twojemu tatusiowi?

Chłopiec się rozpłakał i wybuchnął:

– Co mnie pani tak pyta i pyta, i pyta!

Zrobiło mi się niewymownie głupio i przykro. Oczywiście, jakoś udobruchałam chłopca, załagodziłam sprawę. Ale pomyślałam sobie, że Bieda byłby ze mnie niezadowolony. On by lepiej wyczuł nastrój chłopca. Wiedziałby, że chce być sam ze swoim zmartwieniem.

Mogłam przecież porozmawiać z nim w cztery oczy, a nie wyduszać z niego zwierzenia przy całej klasie. To był duży błąd, i to mnie wiele nauczyło.

Bo tak to jest w tym szkolnym życiu, że uczą się nie tylko uczniowie. Razem z nimi uczy się i nauczyciel, bo nawet jeśli już mu się wydaje, że zna swych uczniów na wylot, że zgłębił wszystkie tajniki sztuki uczenia i wychowania, zawsze, na każdej lekcji, czekają go niespodzianki, trudne sytuacje, w których musi umieć się znaleźć. To są takie małe egzaminy, które nie zawsze się zdaje na piątkę...

Ale gdyby ich nie było, gdyby w pracy nauczyciela obowiązywał jeden, wciąż powtarzający się szablon, to ta praca byłaby nudna. A ja w swojej 33-letniej nauczycielskiej pracy nigdy się nie znudziłam. To jest zawód piękny i ciekawy – taki, który można naprawdę pokochać. I chyba w końcu dlatego nie poszłam na wagary po 33 latach. Wróciłam do szkoły, żeby uczyć się dalej – razem z moimi uczniami.

Rozmawiała BARBARA WIŚNIEWSKA

Fot. CAF – Stanisław Momot

ROZEJRZYJCIE SIĘ!
I wśród Was są tacy nauczyciele,
którzy do uczniów
podchodzą z otwartym sercem.
Dzięki nim nauka w szkole,
działalność Samorządu Uczniowskiego
i innych organizacji młodzieżowych
nabiera nowych barw.

NAPISZCIE O NICH,
przedstawcie ich zasługi
dla Was, dla szkoły, dla środowiska.
Zgłoście ich jako kandydatów
do odznaczenia SZKARŁATNĄ RÓŻĄ.

Akcję tę ogłosiliśmy w nrach 19 i 20,
a obecnie PRZEDŁUŻAMY TERMIN
zgłaszania kandydatów
do końca stycznia 1985 roku.
Na listach, obok adresu redakcji
dopisujcie: SZKARŁATNA RÓŻA 1984/85.

OPOWIEŚĆ ZIMOWA

Wojciecha Żukrowskiego

Z pierwszego głębokiego snu zbudziły mnie szelesty w mocnej plecionce winogradu, który ściany willi porastał. Zupełnie jakby ktoś próbował się wspiąć i sięgnąwszy parapetu, pchnąć uchylone okno. Wstrzymałem oddech, przytaiłem się w pościeli... Jeszcze na wpół przytomny obejmowałem obu rękami zgniecioną poduszkę, jak rozbitek czepia się belki. Opływały mnie ciepłe fale uchodzącego snu, jednak czułem, że gotowe powrócić, unieść w bezmiar jesiennej nocy, by łagodnie złożyć na nieznanym brzegu, gdzie czekały mnie niezwykłe przygody. Przymykałem ciężkie powieki i na mgnienie oka zapadałem w drzemkę, by po każdym chrobocie w gałęziach wynurzać się na jawie, w dreszczu lęku.

Nie chciało mi się wyskoczyć z wygrzanej pościeli – w pokoju był już chłód, ziemia stygła gwałtownie i o świcie można było się spodziewać, że pierwsze szrony skleją zbielałe trawniki, niezdrowym rumieńcem zwarzą liście.

Próbowałem sobie tę szamotaninę, trzeszczenie gałązek wytłumaczyć, że to polne myszy harcują, a cisza w blasku pełni każdy odgłos wyolbrzymia.

Utuczone w sadach i ogrodach, gdzie spędziły pogodne lato, z pierwszymi chłodami wyruszały do pobliskich domów, by w piwnicach i na strychach umościć sobie kryjówki na czas zimowych zawiei. Ścierniska już przeorał lemiesz pługa, brona wywlokła misternie wyścielone podziemne mysie gniazda. Wędrowały więc całymi rodzinami, dźwigając mieszki z uzbieranym ziarnem i nasionami traw, dzieci wlokły bodaj po jednym pełnym kłosie. Mamy przyświecały sobie latarniami, pełne niepokoju liczyły rozbrykane potomstwo. Prawie przezroczyste ich uszka chwytały każdy szmer, nawet postukiwanie o siebie zeschłych makówek podobnych do grzechotek. Mak przydałby się do świątecznego ciasta, więc co sprawniejsi malcy wspinali się po uwiędłych liściach i wygryzali otworek w dnie makówki, wysypywali mak do ostatniego ziarnka na rozścielone płachty.

Po drodze trafiały im się nie dojedzone przez chłopców. tarcze słoneczników ciśnięte w trawę. Ileż tam jeszcze zostało tłustych ziarn! Łuskały je myszy pospiesznie, worki pęczniały, pomnażały się zimowe zapasy i pochód odbywał się coraz wolniej. Zmierzały ku uśpionemu domowi, pamiętały o uchylonym okienku piwnicy. Dzielni ojcowie podsadzali malców, mamy uciszały ich rozradowane piski jednym smagnięciem ogonka. Podawały wypchane tobołki z pościelą, garnuszki i torebki z ziołowymi przyprawami, które smak przyrządzanych potraw podnoszą, nie brakowało kminku, rozmarynu, wonnych listków mięty i kulek jałowca. Malcy skakali pierwsi na stertę pakunków i popiskiwali z uciechy. Jeden spadł na grzbiet starej ropusze, których para od lat przesypiała mroźne miesiące w zacisznej skrytce pod beczką pełną kiszonej kapusty, miejsce pewne, bo ciężar był nie do udźwignięcia.

– Wynocha, tu już zajęte – bulgotały ropuchy oprysk liwie, gdy do ich jamki wsuwały się ruchliwe mysie pyszczki. – Idźcie dalej! W piwnicach miejsca dość, a ludzie tu nad podziw życzliwi, nawet ich córka ropuchy kijem nie chciałaby zatłuc...

– My tylko sprawdzamy, czy państwo już ściągnęli na zimowanie – myszy kłaniały się grzecznie – życzymy dobrej długiej nocy. O widzę, że gospodarze nawet sianko nam podrzucili!

Wysmykiwały zeschłe trawy z grubo zaścielonych półek przygotowanych na rozłożenie jabłek.

– Dobrych snów – odpowiedział pan Ropuch basem – żeby wam się przyśniła grządka z truskawkami, ślimaki, glisty obmyte w rosie, same smakołyki... Marzy nam się długie, bardzo długie spanie.

– A kto państwa zbudzi?

– Beczka, dudnienie w dno, kiedy kapustę wybiorą na ostatnie bigosy, wtedy pora wracać do sadu. Tylko jesteśmy wtenczas tacy osłabli, że z trudem możemy pokonać te osiem stopni. Gdyby nie potomstwo, gdyby nie skrzek, który trzeba znieść w ciepłe kałuże, nie wiem, czy byśmy się zdobyli na tak wielki wysiłek. Jednak dla dzieci trzeba... Jak wtedy wszystkie rowy grają, jakie kumkania, co za rechoty... Ile muszek! A komarów tańcujących całe słupy... Wiosna to najpiękniejsza pora.

– Nie przeszkadzajcie państwu, mysięta – babka popędzała malców, którzy buszowali po całej piwnicy, tarzali się w rozścielonym sianie, jeden nawet skrobnął zębami jabłka i zaraz inni się zbiegli, żeby popróbować. Czuli się już całkiem zadomowieni.

– Jakie to szczęście, że w tym mieszkaniu nie panoszą się kocury – westchnęła pełna wdzięczności Babka, podnosząc złożone łapki w stronę niskiego stropu. – Czy wy choć wiecie, że waszego Dziadka kot pożarł?

– Opowiedz nam, babuniu – prosili żarliwie.

– Przed snem? Na noc takie okropne historie...

– My uwielbiamy straszne opowieści, żeby aż mrówki chodziły po grzbiecie, od karku aż po koniuszek ogona.

– No, dobrze... Opowiem wam, nudziarze. Tylko idąc na kwaterę, zabierzcie resztę rzeczy, pomóżcie mamie.

Mysięta pognały w podskokach i już pościel znalazła się na łóżkach, garnki na kuchni, a zapasy w spiżarni. Ileż słyszałem radosnych pisków, gdy odnajdywali stare zabawki, kota na kółkach, który kiwał głową na boki,

jakby się rozglądał za którą z myszy ruszyć w pościg, wąsy miał wyskubane i stracił jedno oko z guzika.

Babka zapędziła malców do mycia, bo tylko zwilżyli łapki w miednicy i przetarli oczy, sama usiadła na bujaku i tak rozpoczęła opowieść:

– To był straszny dom, choć i zasobny w dobra wszelakie. Wypowiedziano nam wojnę, gospodarz rozsypał po kątach strychu zatrute ziarno, pod szafami zastawiono potrzaski, a w nich wabiły zapachem kawałeczki wędzonej słoninki, soczyste skwarki, okruchy żółtego, tłustego serka...

– Och, Babciu, jak ty cudownie opowiadasz – popiskiwały zachwycone mysięta, ich wysunięte spod kołderek długie nosy zdawały się łapać woń chrupiących skwarków.

– Wiecie, że najlepsze są z boczku, ładnie poprzerastanego, mięso i tłuszczyk na przemian. Nie powinny być zbyt wysmażone, bo wtedy twardnieją, ale już chrupkie. Dziadek dobrze wiedział, co ja lubię, i ryzykując życiem, w dowód miłości potrafił je dla mnie zdobyć. Wiecie, jak on to robił? Najpierw wypenetrował, gdzie zastawiono pułapkę, potem pokazywał się kotu, jakby go wabił, wyzywał na pojedynek. Zdawać by się mogło, że jeden skok tej rudej bestii wystarczy i wyciągnięte łapy pazurami przygwożdżą mojego ukochanego, bo wtedy był jeszcze narzeczonym...

Kocur rzucał się w pościg, gnał zapatrzony w migający ogonek waszego dziadka i nawet nie zauważył, że trąca zapadkę, że go zdzieliła mocna sprężyna. Potrząsał łapą, na której wisiała pułapka, aż ją odczepił. Była to pułapka na myszy, niestety, nie na koty, więc poza trzepnięciem bolesnym nic mu nie zrobiła, nawet nie okulał. Tylko długo łapę lizał pomiaukując.

A skwarek dawno wypadł i potoczył się prosto przed pyszczek Dziadka. Choć go trzymał w zębach jednak nawet go nie spróbował, taką miał silną wolę, przynosił mi nietknięty. Największą dla niego radością było, kiedy obracałam zdobycz w łapkach, obwąchiwałam, przymykając ślepka z zachwytu i niespiesznie zaczynałam pogryzać. Siadał przede mną i wpatrywał się jak zauroczony.

„Moja Mysiulinka! – szeptał tkliwie. – Moja ty Aksamitko!" Bo on miał duszę poety, umiał przemawiać do mysiego serca. Nawet po latach na wspomnienie pierwszej miłości łza stoczyła się po przybladłym policzku...

– Ale, Babuniu! – dopominały się chórem mysięta, niebaczne na jej wzruszenia, bo wnukowie bywają okrutni w swej ciekawości, w poszukiwaniu prawdy. – Babuniu, miałaś nam opowiedzieć o śmierci Dziadka.

– Dziadek to był wspaniały Mysior. Odwaga jego

była bliska zuchwalstwa. Wyczekiwał, aż rudy kocur zacznie swoje mruczanki i przymknie ślepia na dobre, zapadając w popołudniową drzemkę po obfitym obiadku. Dziadek skradał się w cieniu mebli i potrafił kota skubnąć za ogon. Nim się zjeżona bestia odwróciła, z dziadka pozostał tylko zapach samczych perfum, ów zapaszek mysi i garstka mysiego kminku, jakim popuścić zwykł na szyderstwo. Kocur szalał z nienawiści, wbijał pazury w wałek kanapy i targał obicie, jakby to było mysie futerko. Potem donosił państwu, że to myszy, na nas zwalał winę...

Raz Dziadek niepostrzeżenie wspiął się po firance aż na karnisz i z tej zawrotnej wysokości naśmiewał się z Kota. Ten rzucił się na okno, jakby na niego wrzątkiem kto chlusnął, a że to było spasione kocisko, firanka się podarła, a on gruchnął na grzbiet, choć mówi się, że koty spadają na cztery łapy. Pani domu sprała go mokrą ścierką, wypędziła na dwór. I mogliśmy nareszcie bez trwogi pomyszkować w kudłach dywanu w poszukiwaniu słodkich okruszyn. A nawet zakradliśmy się do kuchni.

Dziadek szydził z kocura, przezywał go wymyślnie: „Ty pasibrzuchu! Ty niedojdo! Ślęponiu, niezdolny myszy wypatrzyć!"

Wystarczyło, żeby kocisko się rozparło na fotelu, bo pod nieobecność państwa on się czuł właścicielem całego mieszkania, ułożyło wygodnie, a już dziadek w drugim kącie zgrzytał i skrobał, całkiem jakby ci ktoś trawką ucho łaskotał. Kocur skakał z wysoka i rzucał się w pościg, a Dziadek, rozpłaszczony, wślizgiwał się w szparę pod listwę, przepadał jak męcząca zmora. Kocisko nie mogło się w porę zatrzymać, parkiet był śliski do połysku, waliło łbem o ścianę, długo potrząsało tym łbem obolałym, były w nim wściekłość i zdumienie.

„Wstrrrętny Mysiorrr! – parskał poprzysięgając zemstę, aż mnie ogarniała groza i nachodziły złe przeczucia, już się widziałam w żałobie, kiedy słyszałam pomiaukiwania pełne nienawiści: „Przygwożdżę go pazurami! Rozedrę na strzępy!"

Tak prosiłam Dziadka, tak zaklinałam na ogonki naszych dzieci, wszystko na nic... Ufał sprawności swoich nóg, igrał z niebezpieczeństwem. Aż przyszedł ten czarny dzień...

Babka zakryła pyszczek łapkami i trwała pogrążona w smutku. Zrobiła się taka cisza w piwnicy, że słyszeli, jak ropuchy pod beczką układają się do snu, uklepują poduszki, moszcząc wygodne legowiska, jak pan Ropuch cmoknął małżonkę w czoło i brzęknął stawiany lichtarz. Była taka śmiertelna cisza, że nawet słychać było nikłe brzęczenie komarów, które tu szukały schronienia przed chłodem nocy i gęsto sadowiły się na chropowatej ścianie. Ogromny jesienny księżyc nawet tutaj zapuszczał zieloną smugę światła.

– To Dziadkowi powinęła się łapka – zapiszczał mały Mysiaczek. – Kot okazał się szybszy?

– Skądże... Nie było na świecie takiego kota, żeby zdążył Dziadka ucapić! To było zapisane w gwiazdach, los, nadeszła owa godzina nie zapowiedziana przez żaden zegar, godzina śmierci.

Widząc, że kot w ogrodzie, Dziadek jako mysi taternik, wspiął się po fałdach nisko zwisającej serwety aż na stół i tam się objadał kruszynkami, bo to się stało w sam Nowy Rok. I wtedy weszła służąca z miotełką i wiadro postawiła tuż przy stole. Dziadek zjechał szybko uciekając prosto do wiadra. Próżno próbował wyskoczyć, było za wysoko. Żeby choć trochę śmieci spiętrzyło się na dnie! Gdyby tam tkwiła zmiotka... Nic. Blaszana studnia, a Dziadek przycupnięty na dnie.

I to babsko go wypatrzyło. Tylko ludzie mogą być tak okrutni. Przywołała kota. On oparł łapy o krawędź wiadra, pazury jak sierpy poostrzył na blasze. Długo mierzyli się oczami, kocur nie mógł do środka wskoczyć, popatrzył na kobietę znacząco, a ona mu wiadro nachyliła.

Dziadek miał jedną szansę na tysiąc, że skoczy oprawcy na łeb, prosto między ślepia. I po jego grzbiecie śmignie w kąt pokoju, zapadnie w norkę.

„Teraz cię mam!" – triumfował kocur.

Wiadro potoczyło się z brzękiem. Całe podzwonne. Tak zaczął się nam Nowy Rok, najczarniejszy rok mego życia. Pół rodziny wytruli nam pasztetem przyprawionym arszenikiem. Norki zalepiali nam gipsem z tłuczonym szkłem, ani się przekopać, ani wygryźć dziury, bo się kaleczysz, łapki krwawią.

Coś mnie tknęło i jednego wieczoru, w panice kazałam pakować najpotrzebniejsze rzeczy i uciekać, przeprowadziliśmy się w samą porę. W tamtym, niegościnnym domu wybuchł pożar. Jednak myśmy ocalili życie, moja córka spodziewała się dzieci. Potem wyście przyszli na ten niechętny nam świat... Na szczęście tym razem trafiliśmy dobrze. Miejsce zaciszne, w sadzie jedzenia w bród, a zimę po raz trzeci tutaj przyszło nam spędzać i chwalimy sobie życzliwość gospodarzy, co wieczora modlę się za mego męża, a waszego dziadka i za ludzi, którzy udają, że nas nie widzą, proszę o zdrowie dla naszych gospodarzy.

Wstawać mi zaraz i zmówić pacierz! W tym zamieszaniu zapomnieliśmy podziękować Bozi, za upalne lato, za syte dni. Żadna nagła ulewa nie zatopiła naszych norek. Słoneczna jesień pozwoliła zgromadzić zapasy.

– A ja jeszcze poproszę, żebym był dzielny jak Dziadek – pisnął czupurny malec z zadartym ogonkiem. – I chciałbym przeżyć dużo przygód.

– A ja bym się bała – wzdrygnęła się jego siostrzyczka – już wolę, żeby tu było cicho i bezpiecznie jak za piecem chlebowym.

– Teraz spać! – uniosła ostrzegawczo łapkę Babunia. – Spać, bo trzepnę... I niech wam się coś miłego przyśni.

– To, co ci Dziadek przynosił w podarku – zapiszczeli – pyszne, chrupiące skwarki z wędzonki!

Chwilę jeszcze wierzgali pod puchowymi pierzynkami, a już trójkątne łebki uszate grzęzły w poduszce, nieruchomiały i rozległo się dziecinne posapywanie, mały chrapusek obiecywał krzepiący sen. Babka chwilkę przysłuchiwała się tym domowym odgłosom, poprawiła czepek i sama gotowała się do podreptania na spoczynek, gdy dobiegło ją wabiące wołanie sowy: – Pójdź! pójdź do mnie! – Bezszelestnie jej cień zamącił smugę księżycowego blasku.

– Nas nie wywołasz na dwór, ty latający ptasi kocurze?

Posiwiałą, zacną, starą mysz przeszedł dreszcz trwogi. Stała jeszcze, jednak spokojne oddechy wnucząt budziły nadzieję, że noc upłynie spokojnie. Wszyscy byli zmordowani przeprowadzką.

Na pewno chcielibyście wiedzieć, skąd to wszystko wiem, przecież nie było mnie w piwnicy, nie podsłuchiwałem rozmów jej mieszkańców! Historię o swoim Dziadku opowiedział mi mały Mysiak, który udawał, że śpi, a kopali się milczkiem z bratem, tłumiąc chichoty.

A kiedy zrobiła się cisza, wyśliznęli się z łóżek i ruszyli na zwiedzanie domu. Wtedy ich przydybałem. Mysiak chlubił się starym rodem, z jakiego podobno pochodził. Oczywiście, opowiadał mi to dużo później, kiedy stał się moim towarzyszem wyprawy, byłem jedynym człowiekiem, z którym mógł rozmawiać szczerze, powspominać ciepłe norki, Mamę, Babcię i rodzeństwo, bo za nimi bardzo tęsknił, choć się z tym krył.

Tamtej nocy wyskoczyli przez uchylone okienko w plecionkę dzikiego wina i, pokrzykując dla dodania sobie odwagi, zaczęli się piąć do mnie na piętro. Nie brakowało im zuchwałości, a może nie zdawali sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, czyhającej na nich sowy... Zadufani w swoje siły z parapetu skoczyli na podłogę, rozglądali się po mojej sypialni. Już oprzytomniałem rozbudzony, wsłuchiwałem się w ich nikłe głosy.

– Trochę się boję...

– Czego? Tu nie ma kota, a on nas lubi – szepnął śmiały Mysiak wspinając się po moich spodniach zwieszonych z krzesła. Księżyc świecił, więc widziałem, jak młynkował ogonem, by utrzymać równowagę. Zgrabnie wskoczył na stół założony papierami, przebiegł po klawiszach maszyny do pisania.

– Tu nie ma nic do zjedzenia – szepnął z rozczarowaniem. – Czym on się tutaj zajmuje?

Nie mogłem mu wyjaśnić, nie chciałem płoszyć. To prawda, że polubiłem myszy. Nieraz przerywam pisanie i zamyślony nad kartką papieru słyszę ich głosy, nawoływania, tupoty, bo harcują pod podłogą... W mroku widzę, jak suną z latarniami w stronę kuchni czy spiżarni. Przecież razem obchodziliśmy święta, czasem usypiając zdawało mi się, że chóralnie, cienkimi głosami śpiewają w norkach kolędy lub ucztują i wznoszą toasty. A może to tylko dalekie echo przyjęcia u sąsiadów, bo już sam nie wiem, co jest najprawdziwszą prawdą, a co grą wyobraźni karmiącej się zmyśleniem i snami.

Jednak owej nocy uwagę miałem rozdzieloną, przez zmrużone powieki obserwowałem parę malców stojących na dwóch łapkach, węszących w stronę okna, przytulonych do siebie. Tylko ich wypukłe oczka świeciły w mroku jak kropelki atramentu. Więc one też słyszały, coś je zaniepokoiło. A więc drugim uchem nasłuchiwałem, co tam ciężko zdaje się włazić.

Zdumiewała mnie czarna kreska przecinająca kwaterę okna, wyraźnie widoczna za szybą. Coś ocierało się o dach, bo tępo brzęknęła rynna i posypały się zwiędłe liście, czerwień ich zrobiła się czarna w księżycu. Jego zielonkawy blask prześwietlił mysie oczka i posrebrzył młodzieńcze wąsiki. Malcy czekali, co się za oknem pojawi.

Ten mężniejszy dodawał bratu odwagi, skoro go już wyciągnął na nocną wyprawę.

– Tego nie trzeba się bać. Babcia mówiła, że on już o nas nieraz bardzo życzliwie pisał. Babcia nawet myśli, że on jest taki myszo-człowiek, może nawet daleki nasz krewny, bo stale chrobocze w papierach, pisze po nocach i zaraz je drze na kawałeczki...

I to także podpatrzyły. Upuszczałem długopis na stół, zniechęcony, gniotłem w złości wywleczoną z maszyny kartę, by ją w końcu zamienić na strzępki. Myśli utrwalone stukaniem w klawisze były dalekie od tego, co się przede mną jawiło, słowa, które wydawały mi się trafne, jedyne, nieomylnie dobrane, przypominały motyle wymiętoszone, dobyte z piąstki dziecka.

Jakże dobrze znałem swoich bohaterów, a oni mnie nie chcieli słuchać, zaskakiwali swoimi wybrykami, samowolnie zmieniali wyznaczone im zadania, w których mogli ujawnić najlepsze cechy swoich charakterów. Wypinali się na mnie i robili, co im się żywnie podobało! A przecież mieli być mężni, nawet szlachetni, gdy tymczasem ich czyny okazywały się podszyte wyrachowaniem, żądzą posiadania i chytrze skrywaną przewrotnością. Lubili mi robić na przekór, a ja tak bardzo chciałem, żeby stanowili wzór rozwagi i mądrego, bo czynnego umiłowania ojczyzny. Wszystko jedno, jak ona się będzie nazywać: Tiutiurlistan, Blablacja czy jak moja – Polska. Próbowałem ich pouczać, jednak oni tylko porozumiewawczo mrużyli do mnie oko i upierali się przy swoim. Nagle pojmowałem, że choć ich z mroku wywołałem, stworzyłem, zaczęli żyć własnym życiem, że mnie odtrącili, wyprzedzając, i mogę tylko ich przygody pokornie spisywać, w ogromnym zdziwieniu.

Słuchałem więc, co myszęta szepczą między sobą: – Teraz usnął, więc jakby się zapadł, można powiedzieć – nie ma go. Babcia mówiła, że jak pisze, to można mu po stole chodzić, też nas nie widzi, tak daleko wtedy odchodzi...

– A przecież jest w pokoju, skoro tłucze w klawisze?

– Babcia się upiera, że dlatego w nie stuka, bo jest daleko. Rozumiesz coś z tego?

– Nie.

– Ja też nie rozumiem – przyznał się mniejszy.

Znowu coś załomotało nad gzymsem w festonach winogradu, garściami sypnęły się liście. Myszy zamarły, stanęły słupka z łapkami przyciśniętymi do piersi, jakby chciały stłumić stukanie strwożonych serc. Bezszelestnie wymotałem się z pościeli i na bosaka zbliżyłem, palcem wskazującym przycisnąłem ich ogonki. Szarpnęły się, próbowały uciec, pazurki ślizgały się po gładkich deskach ogromnego stołu.

– Puść! Puść, bo ugryzę! – groziły, ale ich pisk już był bliski płaczu. – Puszczaj, to boli...

– Nie ciągnij, nie zapieraj się z całej siły, to nie będzie bolało – tłumaczyłem szeptem – chcę was tylko na chwileczkę przytrzymać. Chcę się z wami zapoznać... Bardzo jestem rad, żeście całą rodziną wróciły na przezimowanie, w nasze progi. Ukłony dla Babci.

Uniosłem palec, a myszy jakby zdmuchnął powiew ciągnący od okna.

Fragment z książki „Na tronie w Blabonie", którą wyda w przyszłym roku Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Inny fragment tej przedziwnej opowieści wydrukowaliśmy w nrze 17.

Ilustrowała Danuta Boniuk-Przymanowska

Pastorałki

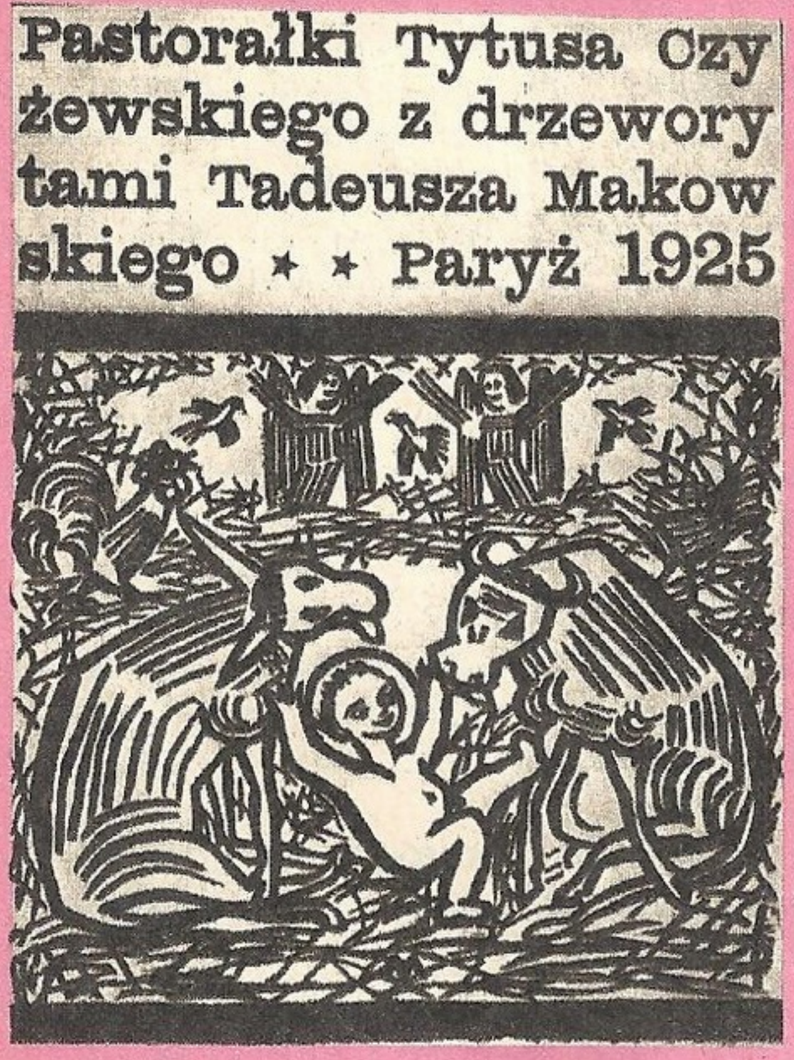

Ho la o la
pastyrze łode pola
du dy u dy
pastyrze łode budy
idźcie do stayénki
do świentéj panienki
i grzegórz karbowy
pisarz prowentowy

hu hu u hu
bieżajcie co duchu
ekonom kulawy
wstańcie wszyscy z ławy
i ty józek spyrka
złaźże z tego wyrka
od miodu i strawy
ty franek kaprawy
idźcie do stayénki
do świentéy panienki

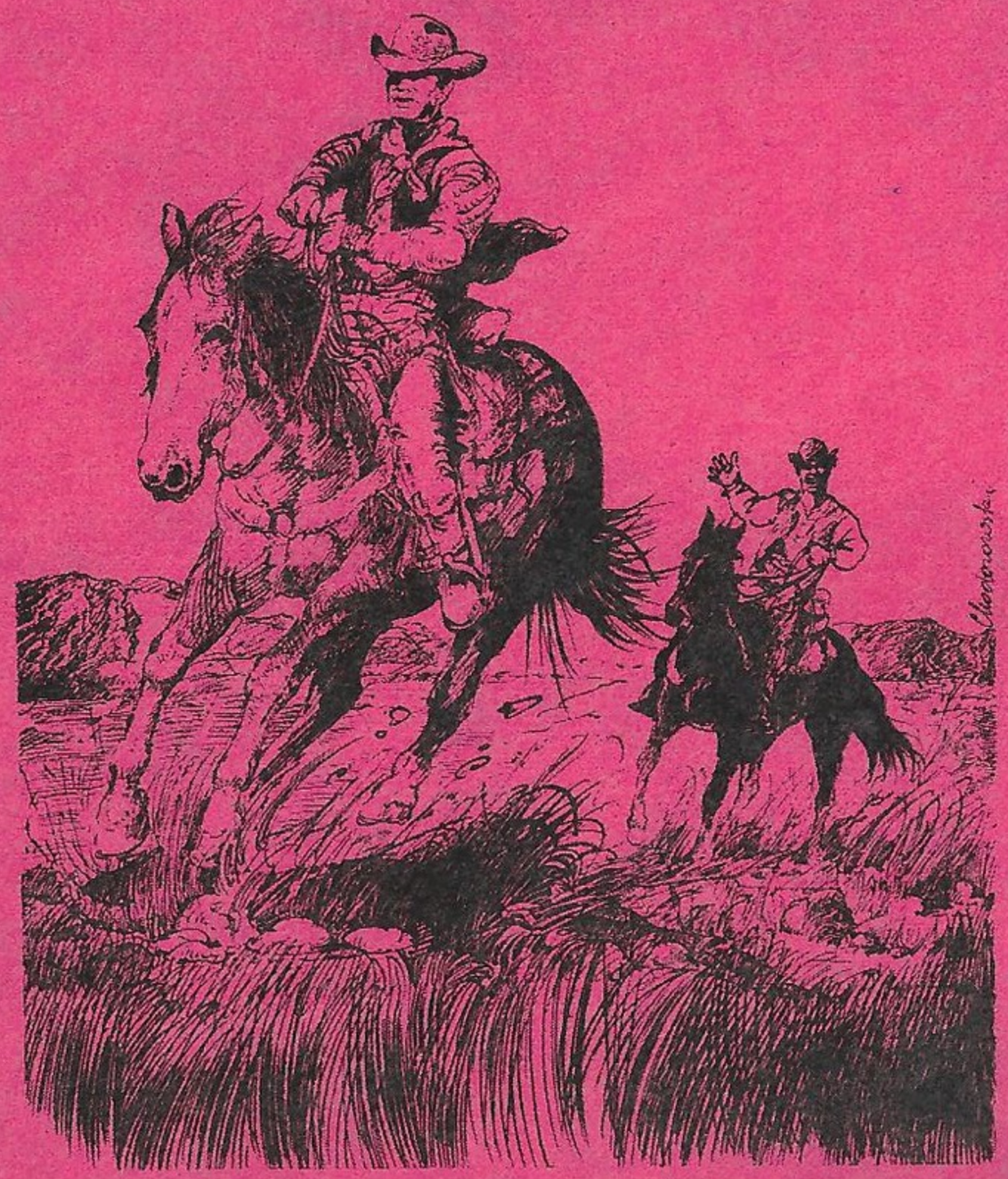

– Sierżancie, jestem przekonany, że dzisiaj nareszcie uda nam się nawiązać z nimi kontakt.

– Tak jest, kapitanie! – krzyknął niemal Baxley.

– To powowodzenia! – Zasalutował, kończąc tę krótką odprawę.

Przez cały czas unikałem w rozmowie z sierżantem napoczętego wieczorem tematu. Mówiliśmy o pogodzie, o koniach, dzikiej zwierzynie i gatunkach piwa, dopiero teraz, gdy zjechaliśmy ze wzgórza, sierżant napomknął ostrożnie:

– Zobaczysz, Dan, że w wojsku wcale nie jest tak źle, jak myślisz, a żołnierze nie są potworami, czekającymi na rozlew krwi. Wojsko to jak rodzina. Ludzie zżywają się, lgną do siebie. A gdy po latach opuszczają służbę, to nieraz płaczą.

– Ja płakać nie będę.

– Wiem, wiem, że z ciebie harda dusza, ale widzisz, nawet kapitan Roscoe potraktował cię po ojcowsku. Wypełnisz zadanie, to na pewno daruje ci część kary.

Chciałem powiedzieć, że wyznaczone zadanie zupełnie mi nie odpowiada, lecz ugryzłem się w język, nagle bowiem ogarnęły mnie od dawna dręczące myśli, jakbym przeczuł, że zbliżają się dni, które zmienią moje życie.

Jechaliśmy w wyznaczonym kierunku, a gdy teren się wznosił, coraz wyraźniej widzieliśmy dymy bijące z obozowiska. Kiedy wreszcie pokonaliśmy ostatnie wzniesienie, pod nami roztoczyła się wielka polana. W zakolu skutej lodem rzeki naliczyliśmy sto pięćdziesiąt namiotów, co świadczyło, że w obozie biwakuje przynajmniej sześciuset Indian.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział sierżant, nie ukrywając zadowolenia.

– Co jeszcze masz zamiar robić?

– Musimy przekonać się, kto jest w tym obozie.

– Przecie wiesz, że Indianie.

– Tak, ale ciekaw jestem, czy dużo jest wojowników.

– Tak, to dla nas bardzo ważne! – nie mogłem ukryć goryczy.

Sierżant zmierzył mnie chłodnym, pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Wiem, że dla ciebie to nie ma znaczenia.

– W jaki sposób chcesz zasięgnąć języka?

– Musimy okrążyć obóz, może po drodze spotkamy kogoś.

– Myślisz, sierżancie, że oni, wiedząc, że ich ścigamy, oddalają się samotnie od obozu? A prócz tego o tej porze ich kobiety gotują południowy posiłek.

– Nie szkodzi, zanim zdążymy objechać obóz dokoła, będą już po lunchu.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak rozkażesz. Ty przecie jesteś dowódcą. A jeśli wpadniemy w zasadzkę, to nie chciałbym oglądać cię bez twojej bujnej czupryny.

Zbył moją uwagę milczeniem. Pchnął konia w kierunku rzeki. Przejechaliśmy ją, zamarzniętą, po chrupiącym miałko pod kopytami śniegu, a potem, kryjąc się za nadbrzeżnymi zaroślami, jęliśmy okrążać obóz. Co chwila obserwowaliśmy przedpole. Najpierw zauważyliśmy wycięte w grubej pokrywie lodowej przeręble. Świadczyły one o tym, że dla uzupełnienia zapasów Indianie łowili ryby. Po kilkuset jardach zobaczyliśmy przecinające rzekę w naszym kierunku tropy koni. Śnieg w tym miejscu głęboko i szeroko przeorały kopyta. Można było ocenić, że przejechało tędy co najmniej sto koni. Śladów mokasynów nie zauważyliśmy. Był to znak, że przejeżdżali jeźdźcy.

Dalej, gdy wyłoniliśmy się spoza zasłony drzew, zobaczyliśmy kilka kobiet idących ze skórzanymi wiadrami po wodę. Dochodziły do nas odgłosy ich żywej rozmowy.

Sierżant przyglądał się im w napięciu.

– Może by tak spróbować? – szepnął.

– Na widok twojego munduru narobiłyby tyle wrzasku, że postawiłyby na nogi cały obóz.

Sierżant przytaknął ruchem głowy. Cofnął się do szerokiej przeoranej w śniegu przez konie drogi.

– Jak myślisz, ilu ich było?

– Dużo – powiedziałem ociągając się.

– Tak mi się widzi, że oni wyjechali zapolować na jelenie. Pamiętasz, co mówił kapitan?

– Pamiętam, ale to nie jest pewne. – Chciałem go zbić z tropu i sprawić, by nie dostarczył do oddziału za wiele informacji.

Sierżant przejechał w poprzek pasmo zdeptanego śniegu.

Nie ma tropów z przeciwnego kierunku. To znaczy, że jeszcze nie wrócili.

– Mogli wrócić z innej strony.

– Tak, ale w obozie nie widać wojowników.

– Bo jedzą teraz suszone mięso bizonów z fasolą.

– Do jasnej... – zaklął Baxley – czy to ja, czy ty jesteś zwiadowcą.
– Ja, ale muszę słuchać twoich rozkazów.
– Umiesz tylko zaprzeczać.
– Bo potrafię wyciągać wnioski.
– I co, do stu tysięcy piorunów, wyciągnąłeś?
– Ciszej – syknąłem – bo nas ktoś usłyszy.
– Więc co masz do powiedzenia? – uśmiechnął się kpiąco.
– Niewiele, sierżancie. To, że jest około stu pięćdziesięciu namiotów, że młodzi chłopcy łowili w przerębli ryby, że tędy przejeżdżali jeźdźcy w sile od pięćdziesięciu do stu koni, że kobiety czerpią wodę z rzeki...
– Dość – przerwał mi zniecierpliwiony. – To ustaliliśmy już dawno.
– Wybacz, ale nie jestem ani czarodziejem, ani jasnowidzem. Mogę tylko wnioskować z widomych znaków.
– Ech... – westchnął – niepotrzebnie uczyłeś się w tych swoich szkołach.
– Pst! – dałem mu znak ostrzegawczy i szybko wycofałem się w gęstwinę. W odległości może dwustu, może więcej kroków zobaczyłem trzech Indian jadących wzdłuż rzeki w naszym kierunku. Ukryliśmy się w zaroślach. Sierżant spoglądał na nich z niepokojem.
– Co będzie, jeśli znajdą trop naszych koni? – zapytał szeptem.
Przyłożyłem palec do ust gestem nakazującym milczenie. Ostrożnie odpiąłem olstry i wydobyłem karabin. Sierżant zadowolił się pistoletem.
Indianie zbliżali się wolno. Ich konie brodziły w sięgającym im do kolan śniegu. Czekaliśmy w napięciu. Widać już było ich skupione twarze i sute, bobrowe czapki. Jechali prosto na nas. Byli tak blisko, że dostrzegłem mosiężne ozdoby na ich łosiowych kurtkach. Uniosłem wyżej karabin... W tej samej chwili z kępy drzew oddalonej od brzegu wyłonili się trzej inni. To nas uratowało, bowiem obie trójki zatrzymały się i nagle ci, co jechali na nas, zawrócili ku tamtym i odjechali w przeciwnym kierunku. Kiedy znikli za niewielkim wzgórzem, odetchnęliśmy z ulgą.
– To zwiadowcy – wyszeptał sierżant.
– Widać, że nie próżnują. Patrolują teren wokół obozu.
Sierżant schował pistolet do kabury.
– Musimy wracać, żeby przed nocą dojechać do oddziału.
Skinąłem tylko głową. Ruszyliśmy bardzo ostrożnie, trzymając się nadbrzeżnych zarośli, a gdy minęliśmy pierwsze wzniesienie i po starych śladach dobrnęliśmy do lasu, zaraz poczuliśmy się bezpieczniej.
Mój koń, zmęczony jazdą w głębokim śniegu, znowu okulał. Pomyślałem sobie, że nie dojadę na nim do oddziału. O dziwo, myśl ta wydała mi się niemal zbawienna. W najtajniejszej głębi mej świadomości zrodziło się postanowienie. „Nie dopuszczę do tego, żeby Roscoe i inne oddziały, które utrzymywały z nim łączność, napadły na ten obóz".
Zwolniłem, pozwalając sierżantowi wysforować się o kilka długości konia, a kiedy to zauważył, krzyknąłem:
– Sierżancie! Koń mi okulał.
Zsunął się z siodła i zostawiwszy swego konia na miejscu, zbliżył się do mnie.
– Niech to piekło pochłonie! – zaklął. – Nie mógł sobie wybrać lepszej pory!
Podszedł do konia, chwycił go za wodziska i zaczął oprowadzać, śledząc pilnie końską nogę. Nagle zatrzymał się i spojrzał za siebie. A ja już dopadłem jego konia, już siedziałem w siodle i chlastając wierzchowca wodziskami po szyi, puściłem go w galop. Poniósł mnie w ciemny las. Pochyliłem się nad grzywą, spojrzałem za siebie. Sierżanta nie było już widać. Zwolniłem nieco, a gdy oddaliłem się dostatecznie, przeszedłem w kłus, żeby nie zajeździć zmęczonego konia. Wiedziałem, że sierżant mnie już nie dogoni.

9.

Zacząłem okrążać obóz z drugiej strony. Teren był trudny. Co jakiś czas musiałem pokonywać jary i rozpadliny. Zbliżał się już wieczór, kiedy dobrnąłem do wzgórza, z którego widać było obóz. Zachodzące słońce rozżarzyło do czerwieni smugi chmur po zachodniej stronie i malowało delikatnym blaskiem czuby sosen. Polana tonęła już w półmroku, a dymy bijące prosto z namiotów przypominały ciężkie słupy wbite w atramentową wodę.
Zastanawiałem się, jak w bezpieczny sposób wejść do obozu. Żaden z nasuwających mi się pomysłów nie był dobry. Gdybym strzelił kilka razy w powietrze, na pewno postawiłbym wszystkich na nogi, a na siebie ściągnął gniew Indian. Pojechać wprost, a na widok pierwszej napotkanej osoby rzucić broń i poddać się. Ktoś mógłby mnie zobaczyć z daleka i sprzątnąć jednym celnym strzałem. Roztrząsałem również taką możliwość: zranię się z pistoletu w rękę lub w ramię i będę udawał, że strzelali do mnie z daleka żołnierze, jednak po namyśle zmiarkowałem, iż wiadomość o przebywającym w pobliżu wojsku mogłaby wywołać popłoch, a tego chciałem uniknąć.

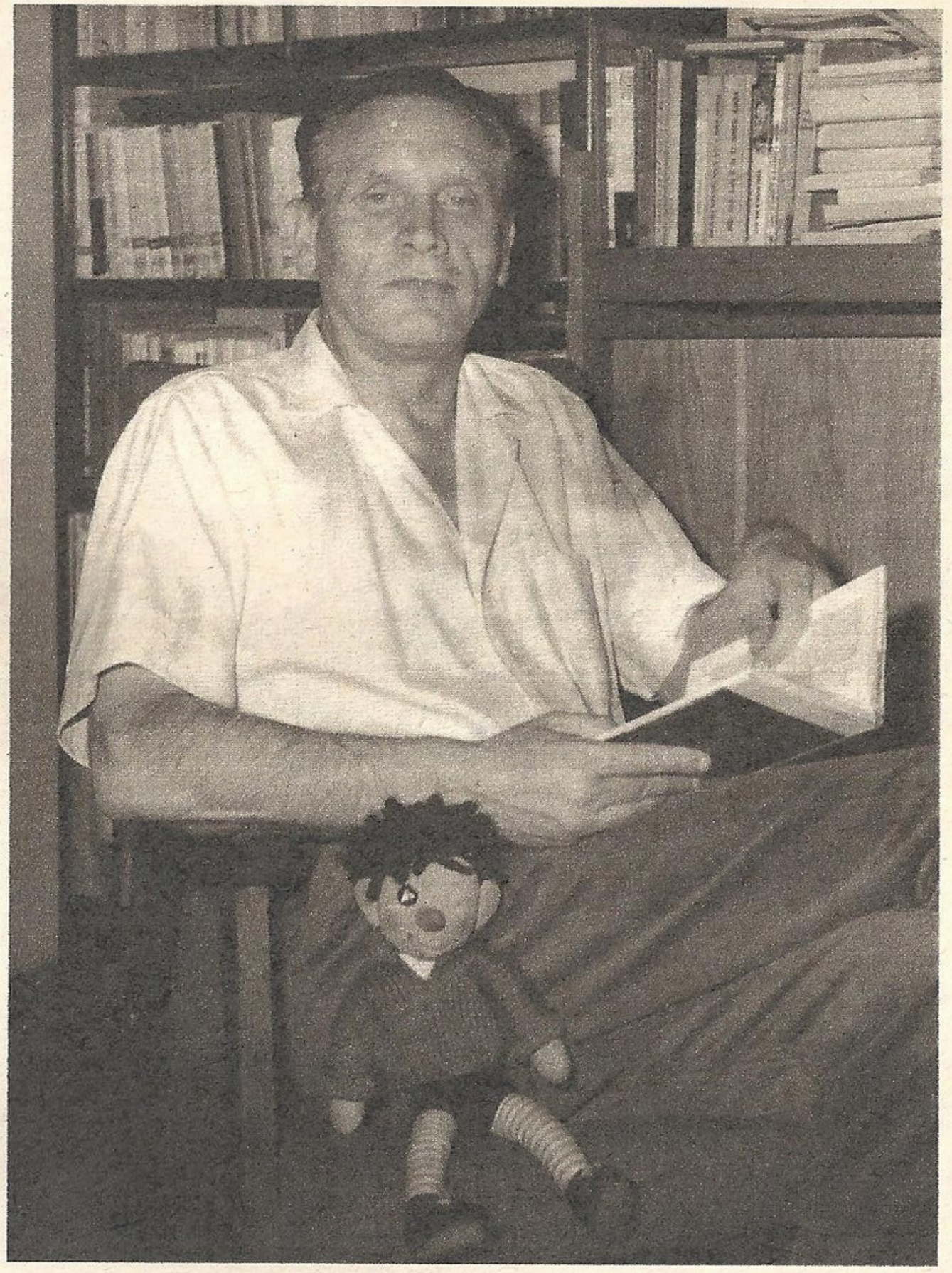

ADAM BAHDAJ ze swoją ulubioną maskotką

Wszystkim, którzy od 14 numeru z zapartym tchem czytali westernową powieść Adama Bahdaja i z żalem żegnają się teraz z jej bohaterami, przypominamy, że na bibliotecznych półkach czekają na nich inne książki Adama Bahdaja. Najbardziej znane z nich to: „Do przerwy 0:1", „Wakacje z duchami", „Uwaga, czarny parasol", „Kapelusz za sto tysięcy", „Piraci z wysp śpiewających", „Stawiam na Tolka Banana", „Czarne Sombrero", „Telemach i dżinsy", „W stronę Kansas City".

Położyłem dłoń na ramieniu chłopca.

– Przyprowadził mnie do was Zuzu Tepe. Jego przybrany ojciec był przyjacielem waszego wielkiego wodza. A gdyby on teraz stanął przed wami i radził wam, żebyście zwijali swoje tipi, czy uwierzylibyście mu czy nie?

Czarownik wyciągnął rękę i dłonią wykonał gest zaprzeczenia.

– Nasz przyjaciel, a przybrany ojciec tego chłopca, nigdy nie sprzeniewierzył się tej przyjaźni. Gdy mówił: jest jasno, było jasno. Gdy mówił: jest ciemno – było ciemni. A wy, gdy mówicie: jest jasno – jest szaro, a gdy mówicie: jest ciemno, to też jest szaro.

Kończyły się już zapasy mojej cierpliwości. Wygasało we mnie podniecenie, a senność, która po całodniowym wysiłku zaczęła przyćmiewać myśli, ostrzegała, że wnet może przyjść zobojętnienie.

– Słuchajcie – rzekłem z wielkim wysiłkiem – rozważcie to w swoich światłych umysłach. Jeżeli sądzicie, że kłamię, a mimo to zwiniecie swe tipi i nocą ujdziecie z tego miejsca, to będziecie mnie przeklinać za to, że naraziłem was na chłód, niewygodę i niepotrzebny wysiłek. Lecz jeżeli mówię prawdę, a wy nie posłuchacie mnie i zostaniecie w tym obozie, a rano nadejdą niebieskie bluzy, armatami rozpędzą was w cztery strony świata, a potem będą was siec żelazem tak, że nikt nie ujdzie żywy, co będziecie wobec mnie mogli uczynić? Nawet nie będziecie mogli mnie przekląć. Rozważcie to, bo ja już nie będę tracił słów na próżno.

Czarownik drgnął, otworzył szczelnie zlepione powieki, a gdy spojrzał na mnie, na jego twarzy rysował się wyraz zdziwienia. Myślałem, że moje słowa dotarły do jego świadomości, lecz myliłem się, po chwili bowiem zwrócił się do Kamiennego Serca i zamienił z nim kilka zdań, a gdy skończył, powiedział drżącym ze starości głosem:

– Przyprowadził cię tutaj nasz miły Zuzu Tepe. Rozmawialiśmy z tobą, jak z naszym gościem, więc odejdź teraz spokojnie, bo czas nasz przy tobie płynie daremnie, kradnąc nam czekające nas sny. Niech cię Dobry Duch prowadzi bezpiecznie przez naszą krainę.

Zdało mi się, iż między nami wyrasta wysoka przeszkoda i nic już ich nie skłoni do posłuchania mnie. Podniosłem się, skłoniłem się im i bez słowa wyszedłem z tipi. Zuzu Tepe odprowadził mnie do konia. Po drodze zapytałem go:

– Co oni mówili między sobą?

Chłopiec nie spojrzał na mnie.

– Tego nie wolno mi powiedzieć.

– Czy mogę bez obawy odjechać z obozu?

– Tak... Odprowadzę cię do ostatnich tipi, a potem jedź bezpiecznie i pamiętaj, że ja ci uwierzyłem.

Wraz z chłopcem odprowadzało mnie kilka starych kobiet, które podczas naszej rozmowy stały zapewne pod tipi czarownika i podsłuchiwały. Teraz opatulone futrzanymi derkami, szły cicho, niemal złowieszczo. Zdawało mi się, że za chwilę rzucą się na mnie i rozszarpią na drobne kawałki.

Zuzu Tepe zatrzymał się przy ostatnim namiocie. Nie powiedział ani słowa, tylko skinął mi ręką na pożegnanie. Dosiadłem konia i, odpowiedziawszy mu również skinieniem, ruszyłem w ki unku wzgórz. Za sobą słyszałem groźny szept starych kobiet. Byłem pewny, że rzucają na mnie złe uroki.

11.

Dokąd mam jechać? Co robić? – pytania te tkwiły we mnie. Nie potrzebowałem ich wywoływać. Odpowiedzi nie znalazłem nawet w najskrytszych swych myślach. Byłem zmęczony i czułem dojmujące zimno. Jechałem prosto przed siebie, a gdy minąłem pierwsze wzniesienie, wśród młodych świerków wyszukałem zaspę, wykopałem głęboką jamę, a potem spętałem konia i uwiązałem go na kantarze do pnia.

Mimo że byłem u kresu sił, nie mogłem zasnąć. Przed oczyma przewijały mi się obrazy przeżytych zdarzeń. Wzbudzona pamięć przywracała życie wspomnieniom, dając ułudę, że to wszystko dzieje się współcześnie. Co chwila zrywałem się z krzykiem, lecz wnet opadałem bezsilnie, oblany zimnym potem. Dygotałem cały i szczękałem z zimna zębami. A najgorsze, że z tej nie kończącej się panoramy obrazów nie mogłem wyłuskać ani prawdy, ani sensu. Powoli czas zaczął tracić znaczenie, a obrazy swą wyrazistość. Umykały w bezkres, rozpraszały się. I nagle przed mymi oczami wyłonił się wyrazisty obraz: ujrzałem Zuzu Tepe opartego o uchwyty sań i patrzącego na mnie swymi mądrymi, jakby nalotem żalu przymglonymi oczami. I usłyszałem jego głos:

– Tak, Danie, moją matkę, Indiankę, zabił biały, a ojca białego, zabił Indianin.

W tym samym momencie usłyszałem głos trąbki. Zerwałem się. Dokoła było szaro, tylko wyższe gałęzie sosen żarzyły się delikatnym blaskiem świtu. Wybiegłem na wzgórze. Pod sobą ujrzałem rozległy obóz. Nieregularnie rozsiane tipi tonęły w półmroku. Przez chwilę było cicho... Zupełnie cicho, jak gdyby ziemia wstrzymała oddech. Pomyślałem, że głos trąbki był fragmentem snu... Lecz nagle od strony rzeki usłyszałem ten sam natarczywy i złowieszczy dźwięk, a z zarośli w luźnym szyku wysypał się szwadron kawalerii. Na przodzie cwałował chorąży z gwiaździstym sztandarem, a za nim niebieskie kurtki, pochylone nad grzywami koni.

A z dołu, z tej martwej płaszczyzny nad rzeką, usianej stożkami namiotów, uniósł się w górę straszliwy lament.

KONIEC

Kiedy tak rozmyślałem, nagle tuż za sobą usłyszałem szczekanie psów, a gdy się odwróciłem, myślałem, że padną ze zdziwienia; kilkanaście kroków za sobą ujrzałem psi zaprzęg ciągnący sanie załadowane poćwiartowanym jeleniem, a za saniami młodego indiańskiego chłopca, który na mój widok zatrzymał gwałtownie sanie. Przez chwilę zdawało mi się, że chce uciekać. Wyciągnąłem więc przed siebie ręce. Chłopiec zrozumiał. Nie zbliżając się do mnie, zawołał po angielsku:

– Kto jesteś i co tu robisz?

Zeskoczyłem z konia i, żeby go uspokoić, zdjąłem pas z pistoletem i rzuciłem go w bok.

– Jestem waszym przyjacielem i chcę was ostrzec przed zbliżającym się wojskiem.

Chłopiec osłupiał. Widać było po wyrazie jego twarzy, że wprawiłem go w nieludzkie zdziwienie.

– Co? – zawołał po chwili.

– Jestem waszym przyjacielem – powiedziałem siląc się na spokój. Ruszyłem w jego stronę. Cofnął się o pół kroku, a psy wyczuwając, że jest w niebezpieczeństwie, jęły zaciekle ujadać i szczerzyć zęby.

– Uspokój psy – krzyczałem poprzez ujadanie. – Chcę z tobą pogadać. Widzisz, że nie mam broni.

Chłopiec świsnął batem. Psy posłusznie przyległy do ziemi.

– Czego chcesz? – zawołał znowu po angielsku, a zabrzmiało to lepiej niż poprawnie.

– Mówiłem ci, jestem waszym przyjacielem.

– Czego chcesz?

– Chcę rozmawiać z waszym wodzem.

– Wodza nie ma w obozie.

– To z najstarszym ze starszyzny.

– Z czarownikiem?

– Może być czarownik.

– Ale czego od nas chcesz? Ty przecież jesteś biały.

– Mówiłem: chcę was ostrzec przed zbliżającym się wojskiem. W tę stronę ciągnie dużo wojska. Musicie zwijać obóz i uciekać.

Chłopiec patrzył na mnie nieufnie.

– Nie wierzę ci. Pewno chcesz nas podejść.

– Chłopcze – westchnąłem – naprawdę nie macie dużo czasu. Wojsko jest o kilka godzin marszu stąd. Musicie zwijać namioty.

Chłopiec zmrużył okrągłe oczy.

– Mówisz, że chcesz nam pomóc, a przyjechałeś na wojskowym koniu.

– Skąd wiesz? – zdziwiłem się.

– Ma wypalone litery na szyi.

Zaskoczył mnie i wprawił w zakłopotanie. Nie spostrzegłem, że koń sierżanta miał pułkowy znak wypalony na szyi. Chłopiec wyczuł moją rozterkę, więc zawołał niemal zuchwale:

– Pewno przebrałeś się za cywila i chcesz nas oszukać.

– Chłopcze, widzisz, że nie mam broni. – Zdjąłem z szyi mosiężny naszyjnik Pewnej Ręki. – Znasz się na znakach plemiennych? – zapytałem pokazując mu z daleka naszyjnik.

– Rzuć go – powiedział, a gdy rzuciłem mu naszyjnik, złapał go zręcznie i obejrzał ze wszystkich stron. – To nie nasz znak – zwrócił ku mnie spojrzenie.

– To jest naszyjnik szczepu Arapachów. Nosił go wielki wódz Pewna Ręka.

– Kłamiesz – rzucił wyzywająco. – Wielki wódz Pewna Ręka jest teraz wodzem nad innymi wodzami i nie dawałby takiemu jak ty swego naszyjnika.

Wyczułem, że go nie przekonam. Z chłodną logiką odpierał wszystkie moje agrumenty, a usiłowania, by go przekonać, wzbudzały w nim coraz większą nieufność. Rosło we mnie nieopanowane rozdrażnienie. Był taki moment, że chciałem podnieść z ziemi pas z pistoletem i pod groźbą użycia broni zmusić go, by zaprowadził mnie do obozu. Opanowałem się jednak, chciałem mu coś powiedzieć, lecz w tej chwili chłopak ujrzał na mej czapce srebrny emblemat Overland Ponny's Expressu.

– Jesteś kurierem? – zapytał mile zdziwiony.

– Tak – potwierdziłem pospiesznie.

– Co ty tu robisz w tych stronach?

– Jechałem do Saint Joseph i po drodze...

– Mój ojciec też był kurierem – przerwał mi. – Może słyszałeś o nim? Nazywał się Peter Mac Crea.

– Nie, chłopcze. W Ponny's Expressie pracuje dużo kurierów, a ja jestem tam od niedawna.

– Mój ojciec – podjął z dumą – był najlepszym kurierem ze wszystkich.

– Szkoda, że go nie poznałem.

– On był prawdziwym przyjacielem Indian.
– Biały? – zawołałem, nie mogąc opanować zdziwienia...
– Biały, ale on mnie kochał jak syna.
– To ty byłeś u niego?
– Tak, znalazł mnie w spalonym obozie. Zaopiekował się mną. Był dla mnie lepszy niż prawdziwy ojciec.
– I dlatego tak płynnie mówisz po angielsku?
– Tak. Znam kilka wierszy i kilka piosenek. Umiem czytać po waszemu i pisać. On był moim nauczycielem.
– A co się z nim stało?
Chłopiec opuścił głowę.
– Lepiej nie pytaj.
– Nie żyje.
– Tak. Kiedy jechał z Sacramento do Salt Lake City, napadli na niego Indianie...
– To dla ciebie musiało być straszne.
– Tak... Moją matkę zabili biali, a przybranego ojca Indianie. Ale nie nasi – dodał pospiesznie. – To byli ci, co przekłuwają sobie nosy.
– Nez Perce – rzuciłem, gdyż biali nazywali ich z francuska.
– My mówimy Thetlan Thelele.
– Ty jesteś z plemienia Wron?
– Tak.
– A jak znalazłeś się z powrotem wśród swoich?
– Mój ojciec był przyjacielem naszego wodza, Białego Kamienia, a Biały Kamień, kiedy dowiedział się o jego śmierci, zabrał mnie z szałasu nad Ciemną Rzekę... bo mój ojciec, zanim został kurierem, był myśliwym. On mnie nauczył polować.
– A ile ty masz lat, mój chłopcze?
– W miesiącu, gdy kwitną polany, skończę jedenaście wiosen.
– I umiesz już polować?
Chłopiec ruchem głowy pokazał leżącą na saniach, poćwiartowaną tuszę jelenia i piękne poroże przytwierdzone do przodu sanek.
– To ty upolowałeś tego wielkiego jelenia? – zapytałem.
Chłopiec skinął głową.
– A z czego strzelałeś?
Chłopiec wskazał głową leżący na saniach łuk i kołczan.
– Z tego łuku ustrzeliłeś tego wielkiego jelenia? – zawołałem z niedowierzaniem.
– Tak – odparł z nutką dumy w głosie i uśmiechnął się zaczepnie. – To nie wiesz, że Indianie, kiedy jeszcze nie mieli strzelb, polowali z łukiem!?
– Wiem... ale... – Byłem tak zdumiony, że pogubiłem słowa i utknąłem w milczeniu.
Chłopiec przyszedł mi z pomocą.
– Mówiłeś, że chcesz rozmawiać z naszym czarownikiem?
– Tak, jeżeli mnie do niego zaprowadzisz.

10.

W namiocie panował półmrok. Blask bijący od ogniska ozłacał twarze dwóch starych Indian. Czarownika, Żywą Wodę, i jednego ze starszyzny, Kamienne Serce. Kobieta piekąca na rożnie kawał jeleniego uda siedziała odwrócona do mnie i w kościanej misce mieszała z tłuszczem wonne zioła. Chłopiec, który mnie tutaj przyprowadził, był tłumaczem. Zwracali się do niego po indiańsku – Zuzu Tepe.
Czarownik podał mi fajkę.
– Pal, to jest tytoń rosnący na słonecznych zboczach i ma siłę słońca.
Pociągnąłem lekko i nagle zakrztusiłem się. Tytoń był tak mocny, że wyciskał łzy z oczu.
– Pokój tobie – zwróciłem się przez tłumacza do Czarownika. – Niech ci wiosny niosą nowe lata, a lata niech nie ciążą ci, tylko uzbroją w siłę. Ale teraz musisz rozkazać, by twoi ludzie zwijali namioty i szykowali się do ciężkiej drogi.
Czarownik przymknął oczy, ze skórzanego woreczka wyjął szczyptę posiekanych ziół i rzucił ją na ogień. Zapachniało, jak kadzidłem w kościele.
– Moi ludzie już wiele dni uciekają przed niebieskimi bluzami. Moi ludzie marnieją, a naszym koniom widać już żebra.

– Musicie znaleźć siły do ucieczki, bo niebieskie bluzy są już niedaleko. Mogą tu przybyć o świcie.
Czarownik przymknął oczy. Jego ciemna twarz wyglądała jak maska. Zdawało się, że już nie przemówi, lecz po chwili usłyszałem szept, który wnet przeszedł w słowa.
– Nie wierzymy białym. Mówisz, że jesteś naszym przyjacielem, a przyjechałeś na wojskowym koniu.
– Jeżeli mi nie wierzysz, to wyślij młodych wojowników na zwiady.
– Nasz wódz i nasi wojownicy poszli daleko, daleko na polowanie. W naszych namiotach nie ma już suszonego mięsa, a kobiety karmiące dzieci mówią, że w ich piersiach nie ma już mleka. Czekamy na mięso jeleni i łosi.
– To wszystko wiem, mówiłeś już o tym. Ale wiem również, że niebieskie bluzy są w drodze, a gdy minie noc, usłyszycie, jak przemawiają ich armaty i karabiny.
– To ty mówisz, a nie ja, nie Kamienne Serce ani nie nasz Zuzu Tepe. Słowa białego są jak dym i tam skłaniają się, skąd wiatr wieje.
– Mówiłem ci, że jestem przyjacielem wielkiego wodza, Pewnej Ręki. Zawarliśmy przyjaźń podczas łowienia mustangów. Potem ofiarował mi naszyjnik.
Czarownik uniósł rękę.
– Widziałem ten naszyjnik. Naszyjnik jest ze szczepu Arapachów, lecz kto może powiedzieć, czy nie zerwałeś go z szyi martwego Indianina.
Tak się poczułem, jak gdybym drewnianą sochą chciał orać kamienne rozłogi. Bałem się, że za chwilę wybuchnę gniewem. Tymczasem panowałem jeszcze nad sobą. Mówiłem cicho i bez podniecenia.
– Nie mogę nic więcej wam powiedzieć. Jeżeli mi nie wierzycie, to sami gotujecie sobie zgubę.
Powieki Czarownika drgnęły. Przez ich szpary badał wyraz mojej twarzy.
– I ja nie mogę więcej słów rzucać na próżno. Mowa nasza jest inna niż wasza. Wy mówicie, żeby później zaprzeczać własnym słowom.

ho la o la
pastyrze ze pola
weźcie dwa barany
móy Yanie kochany
miodu ze dwa dzbany
syrek pobiélany
cepy i siékiére
skrzypeczki i lire
wilcy się zwiadują
u a nawołują
barana porwali
w boru rozerwali
z krzywemi rogami
z czornemi kudłami
zebrali się Chłopy
i przyszli do szopy
po śniégu po grudzie
dziwili się ludzie
przyśli do stayénki
do świentéy panienki
wół osioł chuchayą
głowami kiwają
Przylecieli ptacy
cip cip cip cy a cy
pastyrze bekayą
na skrzypeczkach grayą
a Kajtek na drum li
a u burek skum li
tiu li u li
nie bec przy matuli
i basista *hu hu*
gładzi bas po brzuchu
stanęli w stayénce
przy świentéy panience.

wchodzą trzej królowie
w koronach na głowie
z garbatym Wielbłondem
przyyechali londem
i piéknie ubrani
złotem haftowani
znoszą wielkie dary
w szkatule talary
e mu e mu
gwarzą po swoyemu
li li li li i li
wszyscy się dziwili
a dzieciątko kwili
pastérze klękayą
cuda oglądayą
gwiazda zaświeciła
na niebie zatliła
nad szopą schyliła
u by u by mu by
poklękały buby
tiu li tiu li u li
uśniyże matuli
w słomianej stayence
przy świentéj panience.

POD CHOINKĘ podłożyliśmy Wam PASTORAŁKI – napisane, zilustrowane i z bibliofilską starannością wydane przed 60 laty, w styczniu 1925 roku w Paryżu. Książeczkę tę, prawdziwą rzadkość bibliofilską, znaleźliśmy wśród cymeliów Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy.

Pastorałkami nazywa się ludowe kolędy mówiące o narodzeniu Chrystusa. Tytus Czyżewski naśladuje w swoich „Pastorałkach" starodawne góralskie śpiewanki. Na góralskich motywach oparł też ilustracje Tadeusz Makowski, znakomity malarz, a jak widać, i grafik. Tytus Czyżewski był również cenionym malarzem, a jako poeta należał do najwybitniejszych przedstawicieli futuryzmu. Co to był za kierunek – zobaczcie w encyklopedii. Tu musimy tylko koniecznie wyjaśnić (żeby nie było pretensji do korekty), że futuryści nie uznawali ortografii i w najdziwaczniejszy sposób zapisywali swoje utwory. Sprawi to zapewne satysfakcję tym z Was, którzy w szkolnych wypracowaniach – mimo woli – bywają futurystami.

Serdeczne Życzenia Świąteczne wszystkim swoim Czytelniczkom i Czytelnikom oraz ich Rodzinom składa „PŁOMYK"

PORADNIK OPTYMISTY

SPOŁECZNICA czy CIERPIĘTNICA?

Butenko pinxit

Zgłosiła się do pomocy w nauce: jest dobra z chemii, a cztery osoby mają dwóje. Może im pomagać, czemu nie. Nawet chętnie: zawsze we środy i czwartki, zaraz po lekcjach. Trzeba zebrać składki na wycieczkę. Wychowawca chory. Ona, Klara, zgłosiła się sama. Jadą na wycieczkę, a Klara z torbą oznaczoną czerwonym krzyżem. Oprócz swojego plecaka ma jeszcze opatrunki, krople i proszki – na wszelki wypadek. Trzeba iść do dyrektora i poprosić o zamianę dwóch ostatnich lekcji z piątku na wtorek, bo w piątek ma być dyskoteka, a przedtem trzeba jeszcze zajrzeć do domu. Trochę się ociągają: do dyrektora – to nie za bardzo, ale Klara już gotowa! Ona pójdzie i załatwi.

Nauczyciele mawiają o Klarze: wysoki poziom uspołecznienia! Jest stawiana za wzór innym, głównie tym, którzy wobec różnych zadań i potrzeb w klasie – ociągają się, chowają się po kątach.

Uczniowie z zadowoleniem przyjmują te oferty Klary, za każdym razem, kiedy ona się wyrwie, zgłosi, wystawi swoją kandydaturę, bo ,,mają z głowy''. Jest ktoś taki gorliwy, kto ZA NICH chce pracować, proszę bardzo, z przyjemnością... Chce pocierpieć dla innych, brawo!

*

... Właśnie: pocierpieć. Bo oto – mówi Patrycja skądinąd osóbka nieopieszała w robocie i wcale nie zawistna – że coś się jej nie bardzo widzi to uspołecznienie Klary. Dlaczego?

No, owszem, pomagała Klara z chemii czwórce ,,zagrożonych'', ale już po dwóch tygodniach zaczęła szeptać temu i owemu ,,zaufanemu'' z klasy:

– Co za harówa! Wbijam im do głowy te wzory i reakcje, a oni jakby mieli zakute pały. Zresztą wyraźnie nie chce im się już. Jaka ja jestem zmęczona... Ale trudno, trzeba pocierpieć dla bliźnich.

Tak, tak, zbierała składki na wycieczkę, bo wychowawca chory. Ale już w trakcie zbierania głośno wyrzekała:

– Płaćcie sami, co ja będę latała od Pawła do Gawła i prosiła, jakby to było dla mnie?! I tak robię za wychowawcę, bo to nie jest robota uczniów. Nie masz drobnych? To co, ja mam się starać o drobne? Po co ja wzięłam na siebie ten kłopot?

Na wycieczce była ,,higienistką''. Nikt na szczęście nie skaleczył się, nie zemdlał ani nikogo nie zabolał brzuch, choć po tych kwintalach zjedzonych lodów popijanych colą – miałby prawo. Klara nosiła torbę z medykamentami przez trzy dni i narzekała:

– Po co ja to dźwigam, a mam przecież swoje ciężkie manatki. Żeby chociaż ktoś zachorował... Ale to wszystko okazuje się zbędnym trudem...

I tak – żałuje, że nikt nie zachorował na wycieczce, bo by jej trud nie okazał się zupełnie zbędny!

Poszła kiedyś do dyrektora w imieniu klasy. Przypadkiem dowiedzieliśmy się, jak przebiegała rozmowa między naszą delegatką a samym szefem szkoły. Był to mniej więcej następujący dialog:

K. – Przepraszam pana dyrektora, że przeszkadzam, ale mam pewną sprawę w imieniu naszej klasy.

Dyr. – Tak? Proszę, jaką sprawę?

K.: – Chodzi o to, żeby można było legalnie zamienić fizykę i polski, które są ostatnimi lekcjami w piątek – na wtorek w przyszłym tygodniu.

Dyr.: – No, to nie jest takie proste. Ale dlaczego chcecie zamienić?

K.: – Bo w piątek jest dyskoteka już od czwartej, a sporo osób musi jeszcze przedtem pojechać do domu, to by nie zdążyli.

Dyr.: – Poczekaj, zaraz spojrzę na rozkład zajęć... Taaaak, tak. No, od biedy jest to możliwe. Dobrze, załatwię to z nauczycielami. Tylko wy nie zapomnijcie o tych lekcjach w przyszły wtorek!

Załatwione, i na tym powinna się misja Klary zakończyć. Ale nie zakończyła się, bo dyrektor jeszcze zapytał mimochodem:

– A ty jesteś gospodynią klasy czy kimś z samorządu?

K.: – Nie, nie jestem. Zgłosiłam się jako delegatka w tej tylko sprawie.

Dyr.: – A samorząd nie mógł tego załatwić?

K.: – Samorząd jest do samorządzenia, czyli do samorządzenia się, a do roboty – to jestem ja...

I nawet wykonała gest, jakby ocierała z czoła pot utrudzenia.

Dyr.: – No, no, to nie jest dobrze w tej waszej klasie. Wrócimy jeszcze do tego przy innej okazji.

Klara dygnęła, powiedziała: ,,Przepraszam, dziękuję'' i wróciła do klasy. Tak potem opowiadała o tej swojej misji:

– Z początku to myślałam, że mnie dyro pobije. Darł się strasznie, że nie będzie z powodu głupich dyskotek burzył porządku pracy w szkole. Potem zaczął się mnie czepiać, dlaczego ja jestem taka bezczelna i przychodzę do niego z takimi propozycjami. Dopiero, jak powiedziałam, że to jest uchwała samorządu klasowego, a ja jestem tylko delegatem, to zmiękł i zaczął się zastanawiać. W końcu się zgodził. Nie macie pojęcia, co ja przeżyłam. Zawsze się tak wystawię. Ale to dla klasy, nie dla mnie, więc już trudno...

*

Patrycja mówi, że Klara nadal zgłasza się do wszystkiego, nadal narzeka na swoje obowiązki i nadal podkreśla swoje poświęcenie dla innych. Cierpi, ale cierpi dla ogółu. Lecz coraz wyraźniej widać, że przede wszystkim zależy jej na tym, żeby stworzyć wokół siebie mit ,,cierpiętnicy''. No, i nauczyciele się na to trochę nabierają. Ale klasa wie, że ona w gruncie rzeczy bardziej myśli o sobie niż o innych.

SENIOR

FOTO Z LILIJKĄ

Już po rozstrzygnięciu FOTOKONKURSU Z LILIJKĄ otrzymaliśmy trzy bardzo dobre zdjęcia z Rajdu Świętokrzyskiego, nadesłane przez Andrzeja Majewskiego ze Starachowic. A więc już poza konkursem, ale pod znakiem lilijki, reprodukujemy te fotografie i nadal zachęcamy „fotoharcerzy" do nadsyłania swoich najlepszych zdjęć.

Weneckie gondole – to symbol romantycznej tradycji, która nakazywała niegdyś wszystkim zakochanym przybywającym do Wenecji choć raz popłynąć gondolą przy blasku księżyca. Ale gondole służyły i służą nadal nie tylko zakochanym. W Wenecji – mieście kanałów – pełnią one po prostu funkcję miejskich taksówek.

Są to ozdobne łodzie wiosłowe, bez steru, o smukłym kadłubie i charakterystycznie wygiętym dziobie. Typowa gondola ma ok. 10 m długości, 1,5 m szerokości i waży 500 kg. Zawód gondoliera przechodzi w wielu rodzinach z ojca na syna. Każda rodzina gondolierów ma swoje stałe, od lat przysługujące jej miejsce postoju, skąd zabiera pasażerów pragnących popływać weneckimi kanałami.

Co roku gondolierzy obchodzą swoje święto. Urządza się wtedy piękne festyny, a także zawody „Vogalonga" na trasie 32 km. Start gondoli odbywa się sprzed słynnego Pałacu Dożów. Zwycięzcy, którzy dotrą na metę pierwsi, otrzymują nagrody i dyplomy, a tłumnie zgromadzona publiczność bije im gromkie brawa. W Wenecji pływa obecnie ok. 1000 gondoli; wszystkie mają kadłuby pomalowane na ciemne kolory. To też tradycja datująca się od XVIII w. Przedtem, co można zobaczyć jeszcze na starych ilustracjach, bogaci mieszczanie weneccy prześcigali się w ozdabianiu swoich gondoli. Malowano na nich przeważnie złotą i czerwoną farbą różne ornamenty i herby rodzinne. Przy końcu XVIII wieku zabroniono malowania gondoli w różne wzory. Ustalono, że wszystkie gondole mają mieć kolor – czarny lub brązowy. I tak jest do dziś. ▶

Na zdjęciu poniżej – gondole przed Pałacem Dożów, obok – fragment obrazu mistrza Canaletto, na którym widać osiemnastowiecznego gondoliera w ozdobnej liberii. ▼

Curling – to rodzaj sportu zimowego, uprawianego w niektórych regionach NRD. Polega on na rzucaniu na gładkiej powierzchni lodowej specjalnych rzutków, przypominających kształtem dziecięcą zabawkę – bąka.

Gra ta wywodzi się podobno ze starej szkockiej zabawy ludowej. Do Niemiec przywędrowała zaś w XVIII w. i z czasem zyskała sobie wielką popularność. Sto lat temu powstało nawet specjalne zrzeszenie sportowe, które regularnie organizuje zawody w tej dyscyplinie. ▶

Używany do curlingu sprzęt to rzutki drewniane lub plastikowe, o średnicy 27–30 cm i wadze ok. 5 kg. Ślizgająca się po lodzie podstawa rzutka musi być idealnie gładka. Od tego bowiem zależy, czy uda się zawodnikowi trafić w drewniany klocek znajdujący się pośrodku kilku kół i przesunąć go na odpowiednie pole.

Skarb w dyskotece

Głośna dyskotekowa muzyka stanowi dla jednych atrakcję, dla innych utrapienie. Do tej ostatniej grupy należał pewien mieszkaniec Glasgow, który bezskutecznie usiłował pukaniem w ścianę przywołać do porządku młodzież bawiącą się w sąsiednim mieszkaniu. Ale te sygnały ginęły w hałaśliwej dyskotekowej muzyce. Zdesperowany sąsiad złapał więc młotek i zaczął nim walić w ścianę. Jakież było jego zdumienie, gdy w ścianie powstała dziura odsłaniająca skrytkę, w której ukryte były drogocenne skarby!

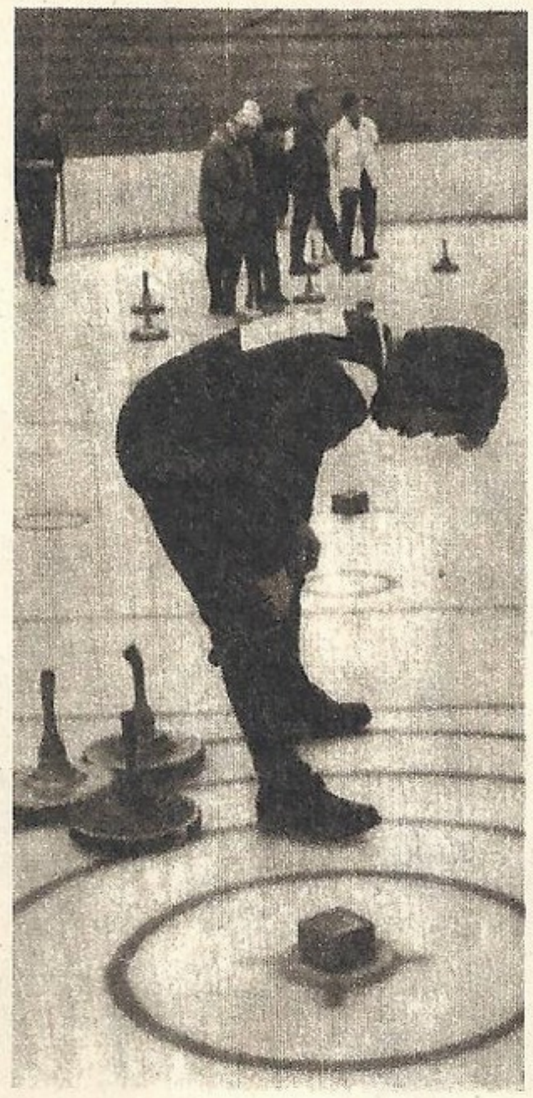

Sposób na niepożądanych gości

Węgierski pisarz Ferenc Molnar autor „Chłopów z Placu Broni", miał dwa sposoby pozbywania się niepożądanych gości. W stosunku do osób sobie obojętnych polecał służącemu odpowiadać, że pana Molnara nie ma w domu. A w stosunku do osób nie lubianych stosował następującą metodę:

– Pan Molnar tylko co wyszedł – kłamał służący. – Jeśli pan się pospieszy i natychmiast wybiegnie na ulicę, z pewnością go pan dogoni.

Orle pióra z granitu spotkać można w Kraju Krasnojarskim (wsch. Syberia). Tak nazwano znajdujące się w pasmie gór Sajanów trzy granitowe turnie strzelające w niebo na kształt orlich piór. Każda z nich ma kilkadziesiąt metrów wysokości. Nie wiadomo, czy na szczyt tych kamiennych piór dotarli ludzie, ale wiadomo, że dostało się nasionko sosny, które zakiełkowało, a po latach wyrosło zeń spore drzewo. ▼

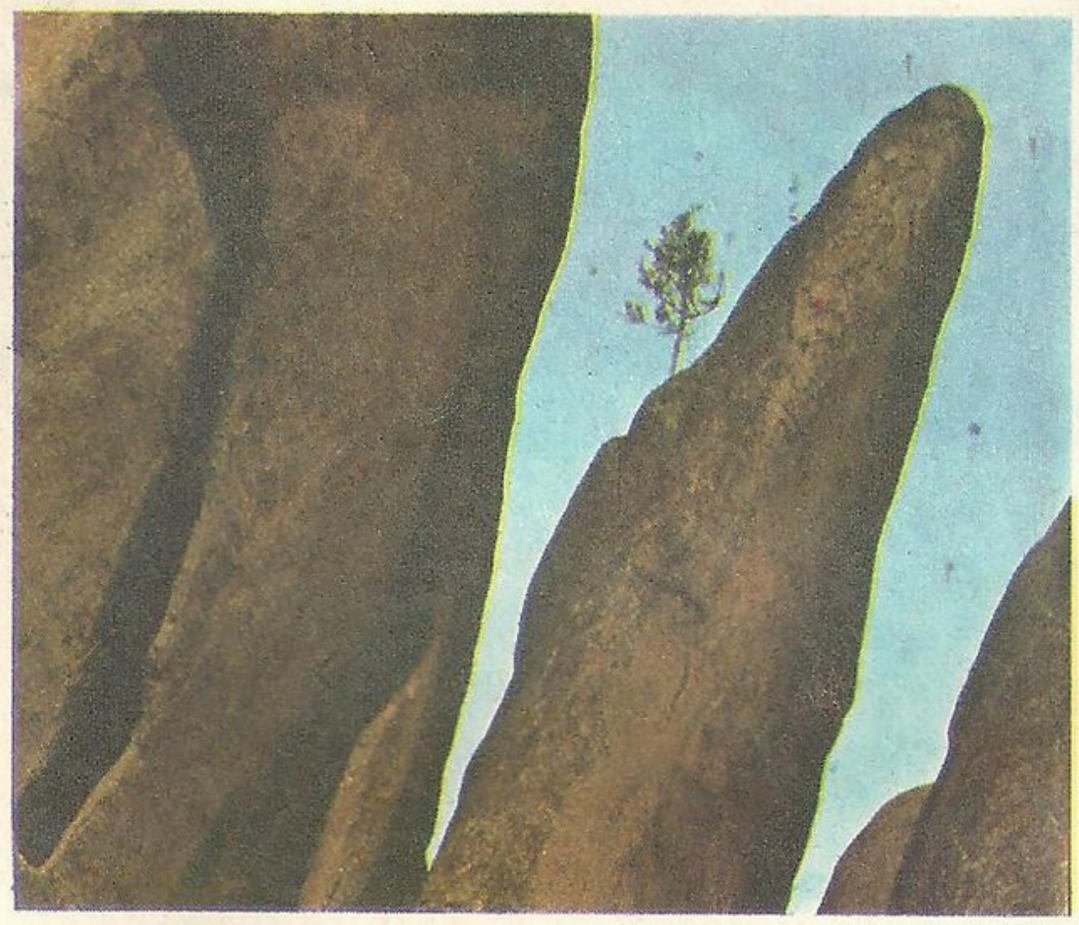

Grudzień ostatni miesiąc w roku, otrzymał swą nazwę w polskim języku od grudy, w jaką zmienia się ścięta mrozem ziemia.

22 grudnia rozpoczyna się kalendarzowa zima; mróz i śnieg są na ogół jej nieodłącznymi towarzyszami.

Grudzień pachnie choinką i wigilijnymi przysmakami, obiecuje gwiazdkowe niespodzianki i sylwestrowe bale na zakończenie starego roku. Nie można go więc nie lubić za taką wielość atrakcji, ale jednocześnie grudzień skłania nas do zadumy, że oto kończy się kolejny rok.

Nazwy grudnia w obcych językach: *DECEMBER* (ang. i niem.), *DECEMBRE* (franc.), *DIEKABR* (ros.), *PROSIN* (czeski), *KOŁOŻOG* (buł.), *PROSINAC* (serb-chor.), *GRUDEN* (ukr).

Grudniowe znaki Zodiaku to: **Strzelec** (22 XI do 21 XII) i **Koziorożec** (22.XII do 21.I).

Osoby urodzone pod znakiem Strzelca są uczynne i życzliwe, cenią sobie pochwały (jak zresztą wszyscy), starają się na nie zapracować, co jest godną naśladowania cnotą. Poza tym są impulsywne i jak to strzelcy, lubią strzelać (czasem jednak – bez prochu).

Koziorożec to znak ludzi opanowanych i bardzo ambitnych. Ci, którzy urodzili się pod tym znakiem, podobno patrzą na świat trzeźwo, są skryci, nie pokazują rogów. Mają niewielu przyjaciół, ale prawdziwych. Sami są również niezawodni w przyjaźni.

...cos dla Ciebie

JAK UDEKOROWAĆ ŚWIĄTECZNY STÓŁ?

Nie wszyscy stawiają w domu w święta choinkę, ale trzeba jakimś zielonym akcentem podkreślić świąteczny nastrój. Można więc zawiesić na ścianie świerkową gałązkę, a na niej parę świecidełek, można wstawić kilka gałązek do siwaka lub innego glinianego naczynia. Najważniejszym meblem w domu w czasie świąt jest stół. Można go ozdobić świerkowym wiankiem, z kolorowymi świeczkami, barwnymi bombkami lub szyszkami. Szkielet wianka, w kształcie koła o średnicy ok. 30 cm, przygotowujemy ze słomy, z wyrośniętej wysoko trawy lub z cienkich witek. Zwijamy je w masywny rulon i okręcamy cienkim drucikiem lub sznurkiem. Do tego szkieletu przytwierdzamy drobne gałązki świerkowe, na których zaczepiamy różne kolorowe ozdoby.

BARSZCZYK ŚWIĄTECZNY

Ugotować 2 litry wywaru z włoszczyzny z dodatkiem 2 łyżeczek „jarzynki". (Zamiast wywaru można użyć rosołu z kostki bulionowej). Odcedzić jarzyny, zużyć je na przygotowanie sałatki jarzynowej. 1 kg buraków obrać, umyć, włożyć do wrzącej osolonej wody i gotować do miękkości. Kiedy są zupełnie miękkie, zetrzeć na tarce jarzynowej i połączyć wraz z wodą, w której się gotowały, z przecedzonym wywarem. Doprawić do smaku 1–2 łyżkami octu (lub kwasku cytrynowego), cukrem i solą. Raz zagotować i podawać w filiżankach. Barszcz tak ugotowany jest przezroczysty, ma piękny ciemnoczerwony kolor, ale gdy stoi zbyt długo na ogniu, straci nie tylko kolor, ale i smak.

RYBA ZAPIEKANA W ŚMIETANIE

Niekoniecznie musi to być karp. Możemy go zastąpić każdą słodkowodną rybą, którą kupujemy wcześniej, Należy ją wypatroszyć, lecz nie myć, zawinąć w folię i przechować w zamrażalniku. Przed podaniem odmrozić i podzielić rybę na dzwonka, umyć. Usmażyć w oleju kawałki ryby, ułożyć w brytfance lub ognioodpornym półmisku. Na każdy kawałek ryby położyć wiórek masła, wstawić do piekarnika. Kiedy masło się stopi, zalać porcje ryby 15 dag śmietany i zapiec (ok. 5 minut). Usmażyć 30 dag pieczarek lub innych grzybów przygotowanych w wekach, mogą też być grzyby suszone, licząc po 2 „kapelusze" na osobę. Przed podaniem rybę posypujemy usmażonymi na maśle pieczarkami. Jeśli zamiast pieczarek podajemy grzyby suszone, należy je dzień wcześniej namoczyć w mleku. Po wyjęciu z mleka grzyby opłukać, wrzucić na wrzątek i dogotować w małej ilości wody, aby były miękkie. Wyjąć z wody, posolić, posypać pieprzem, obtoczyć w mące i zrumienić na maśle. Przybrać nimi półmisek z rybą.

CO ZROBIĆ Z BIAŁEK?

Wiele mam piecze świąteczne, drożdżowe ciasto lub strucle z makiem, do których nie używa się białek. Co z nim zrobić? Najlepiej **bezy**.

Białka z 6 jaj ubić na sztywną pianę, po czym stopniowo dodawać cukier (25 dag cukru pudru) nadal ubijając. Na końcu dodać cukier waniliowy, parę kropel zapachu waniliowego lub cytrynowego. Blachę wyłożyć papierem lub folią aluminiową, lekko posmarować masłem roślinnym i metalową łyżką kłaść porcyjki piany. Piec, a raczej podsuszyć w ledwie ciepłym piekarniku (ustawiamy gaz na najmniejszy płomień), aż beziki lekko się zaróżowią. Można nimi ubrać mak wigilijny, można jeść przełożone kremem, np. mokka (do ubitej trzepaczką śmietany-kremówki wsypujemy cukier i łyżeczkę kawy lub kakao).

WIZYTOWY WARKOCZ

Jak upinać długie włosy, co robić z warkoczem – pisaliśmy niejednokrotnie. A teraz chciałabym pokazać na rysunku zupełnie odmienne, świąteczne zaplatanie warkocza.

Uplecienie, a właściwie „utkanie" tego arcypięknego warkocza wymaga odrobinę zręczności albo zręcznej w palcach przyjaciółki, która łatwiej sobie poradzi z tym niż ty sama. Wszystkie włosy należy zczesać i wyszczotkować do tyłu, a następnie, tuż oprzy głowie, spiąć szeroką klamrą. Ten koński ogon podzielić na sześć równych części. Zewnętrzne pasmo po lewej stronnie przełożyć nad drugie, pod trzecie, nad czwarte, pod piąte, nad szuste. Teraz pierwsze pasmo z prawej strony przełożyć nad drugie, pod trzecie, nad czwarte, pod piąte. W ten sam sposób robić dalej, plątać luźno, bo tylko wtedy warkocz będzie płaski, a o to właśnie w tym uczesaniu chodzi. U nasady warkocz ozdabiamy kolorową aksamitką, gumką ozdobioną koralikami lub pomponikami, harmonizującymi z kolorem sukienki.

...i dla domu

Proponuje ANNA

Narodziny imienia

Ślubowanie na sztandar szkolny

Będąc w wieku czytelników „Płomyka" – no, może odrobinę starszym – zachłystywałem się Gałczyńskim. W jego poezji na każdą okoliczność znajdowałem strofy, które współbrzmiały z moim nastrojem, wzbogacały mnie, formowały moją wyobraźnię. Kiedy spotykasz się z prawdziwą poezją, na czas obcowania z nią sam stajesz się poetą. Przedziwna to właściwość dobrego wiersza: budzić w człowieku artystę, rozjaśniać mu świat.

Myślę, że po to są wiersze,
ich ruch ku sercu człowieka,
by szerzej szła, coraz szerzej
przez kontynenty jutrzenka.
Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia.

(*„Pieśni"*)

Kto w skrytości ducha nie marzy, aby uczynić coś takiego – dla innych, dla swego kraju, dla ludzkości – co zachowa o nim dobrą pamięć przez wieki?

*

Zaczęło się ponad rok temu. Ówczesna dyrektorka szkoły zbiorczej w Zalewie, pani Teresa Sawicz, ogłosiła wśród uczniów plebiscyt na patrona szkoły. W szranki stanęło trzech kandydatów: polityk, wojskowy i poeta. Wszyscy trzej popularni, znani, lubiani. Ludzie praktyczni proponowali kandydata czwartego – na przykład jakąś bogatą i dobrze prosperującą instytucję: będzie opieka, transport, sprzęt sportowy, oferta wakacyjna... Upadło. W Zalewie na Mazurach przeważają chyba romantycy.

Panie Teresa Sawiczowa i Wanda Cydzik, dziś inspektorki oświaty na terenie gminy, nie ukrywają, że w plebiscycie życzyły zwycięstwa Gałczyńskiemu. Wiadomo mi jednak, że plebiscyt przebiegał uczciwie, nikt na nikim niczego nie wymuszał i Konstanty Ildefons Gałczyński wygrał po dżentelmeńsku.

No i dobrze. Po mojemu, nawet bardzo dobrze. Znakomitych przywódców szanuje się, wybitnych dowódców podziwia się, a poetów się kocha. Rozmiłowanie w poezji uczy rozumieć świat, zgłębiać samego siebie, szanować i podziwiać tych, którzy godni są podziwu i szacunku. Więc zwycięstwo poety w demokratycznym plebiscycie ma swój głęboki sens: moralny, patriotyczny, ideowy.

W tym roku, w słoneczny dzień 20 września, na uroczystości nadania szkole imienia, młodzi deklamowali z przejęciem:

...kraju mój, kraju barwny
pelargonii i malwy...

Wręczono im biało-czerwony, bogato haftowany sztandar. Odtąd młodzież ze szkoły zbiorczej w Zalewie może już występować pod własnym sztandarem.

Zanim jednak nadszedł uroczysty dzień nadania szkole imienia, trzeba było podjąć trud przygotowań. Wybraliście Gałczyńskiego na patrona? To trzeba go poznać jak najbliżej, jak najgłębiej!

Kiedy zjawiłem się w Zalewie, pół roku przed uroczystością, nic nie wiedziałem jeszcze o przyszłym patronie szkoły. Wieczorem, na kolacji u przyjaciół, ich syn Tomek Piechota, wierny „Płomykowiec" urządził mi zaskakujący egzamin:

– To wujek nie wie, że Gałczyński urodził się w 1905 roku? A jaki miał stopień w wojsku podczas wojny? Jak się nazywał obóz jeniecki, w którym go hitlerowcy więzili? No? Alten..., Altengra..., Altengrabow!

W innym domu kolega Tomka, Robert Majkowski, koniecznie chciał sprawdzić, czy rozpoznam tytuł wiersza z fragmentu:

Ech, murarze, murarze,
przyjdę do was dziś w gości,
podziękuję wam pięknie
za te wszystkie piękności:
za ten dach pozłocisty,
za fundament i ścianę –
Stare Miasto cudowne,
Stare Miasto kochane...

– Pan wierzy, że w Krakowie był zaczarowany dorożkarz, zaczarowana dorożka, zaczarowany koń? Gałczyński tego nie wymyślił?

– Poeci niczego nie wymyślają – odparłem kategorycznie. – Bez nich nie wiedzielibyśmy o istnieniu krasnoludków.

*

Rok na przygotowanie uroczystości. Dużo? Mgnienie oka!

Uroczystość kosztuje. Sam sztandar – grubo ponad sto tysięcy złotych. A wykucie na wielkim polnym głazie napisu z imieniem poety? A białe stroje i kolorowe chusty dla zespołu baletowego? A to, a tamto, a owo, tysiące drobiazgów, które trzeba zakupić, opłacić? Komitet Rodzicielski nie dałby rady.

20 września, na placu przed szkołą, gdy wszystko już grało jak w zegarku, grono pedagogiczne i samorząd uczniowski podziękują gorąco naczelnikowi Gajcemu, dyrektorowi PGR panu Kózce, prezesowi GS-u Majkowskiemu, szefowi zakładu „Metalowiec" Ryszardowi Piechocie i wielu innym, których zarażono miłością do Gałczyńskiego, jeśli dotąd zarażeni nie byli. Obecny dyrektor szkoły, pan Stanisław Parzęcki, ze wzruszeniem przywitał poczet dawnych dyrektorów, od Apolinarego Skrodzkiego poczynając, którego uczniowie są dziś szacownymi dziadkami...

Oj, leci ten czas!

*

Dobre pół godziny popisu baletowego uczniów na słonecznej murawie: białe sukienki, białe tenisówki, w dłoniach chusty błękitne i purpurowe. Trudne figury, skomplikowane przejścia, zawiłe układy, a wszystko bezbłędnie, w rytm muzyki to powolnej, to szybkiej. Panie: Jackiewicz i Zielenkiewicz, nauczycielki wychowania fizycznego, mogą się cieszyć wreszcie efektem po dziesięciu miesiącach nieprzerwanych ćwiczeń. A ja się dowiaduję na boku od pani inspektor Sawicz,

jakim to cudem udało się zdobyć owe suknie białe, jak starym trampkom nadawano biel za pomocą farby olejnej...

Przedtem było ślubowanie na sztandar: Ślubujemy, tobie, Ojczyzno, sztandaru tego strzec... Bronić granic i honoru naszej Ludowej Ojczyzny... Uczciwą nauką i pracą służyć prawdzie, sprawiedliwości, pokojowi...

Ślubujemy! – Ślubujemy! – Ślubujemy!

Skromne wystąpienie córki poety, pani Kiry Gałczyńskiej:

– ...Weszliście do naszej rodziny. Ojciec nie myślał, że będzie kiedyś tak liczna. Tyle szkół, bibliotek, placówek kulturalnych nosi dziś jego imię... Wyznawał prostą prawdę: radości szukać w małych, codziennych sprawach. Życzę tego wam wszystkim.

*

I tu można by skończyć opowieść o narodzinach imienia szkoły. Chciałbym jednak, żeby to był początek opowieści. Wyobrażam sobie, że za rok czy dwa trafię do szkoły zbiorczej w Zalewie i będzie to szkoła zaczarowana – jak ten dorożkarz, ta dorożka, ten koń. Że w kontaktach z młodzieżą będę nieustannie wyczuwał ów podskórny nurt poetycki, owo posłanie Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, w którym zawiera się radość życia, miłość do ludzi, umiłowanie ziemi rodzinnej, troska o człowieczą godność. Że czar. Że oczarowanie. Że poezja.

Napiszę wtedy dalszy ciąg opowieści.

ALEKSANDER MINKOWSKI

Warta honorowa, przy głazie, na którym wyryto imię poety; z prawej strony Kira Gałczyńska

Moja poezja to są proste dziwy

O POEZJI SWEGO OJCA mówi Kira Gałczyńska w rozmowie z Aleksandrem Minkowskim

Aleksander Minkowski: Pamiętasz fraszkę Tuwima o Gałczyńskim?

„Miałem sen dziwny, barbarzyński, taki że aż strach –
że Konstanty Ildefons Gałczyński
to Johannes Sebastian Bach
A Konstannes Ildestian Bachczyński
to Johanty Sebafons Gach –
Że wszyscy razem śpiewali
hymn do Natalii
i że
poświęcili go Kirze"

Bywałem w waszym cudownym domu, zawsze pełnym światła i muzyki. Jako chłopak, student, twój kolega uniwersytecki. Sporo lat temu... Dlaczego Tuwim łączył Gałczyńskiego z Bachem?

Kira Gałczyńska: Bach był miłością mojego ojca, ważną częścią Jego życia, pracy. W młodzieńczych latach Ojciec grywał na skrzypcach, mówiono, że zostanie wirtuozem, ale porzucił instrument dla poezji. Do niej przeniósł muzykę, zwłaszcza mądrą, radosną i piękną muzykę Jana Sebastiana. „Wszystko coś zgubił, wszystko coś stracił, w Bachu, bracie, odnajdziesz!" – wyznaje w wierszu „Wielkanoc Jana Sebastiana Bacha". Poezja i muzyka to kochające się siostry. Bliźniaczki. Nie można rozumieć poezji, nie kochając muzyki, i odwrotnie.

A.M.: – Czego nauczył Cię Ojciec?

K.G.: – Szukania w trudnych chwilach normalności wokół, a w tej normalności – otuchy, nadziei. Na trudną chwilę dobry jest śmiech i uśmiech, życzliwość dla ludzi, ich przyjaźń, własna naturalność. Ojciec był przeciwnikiem udawania, fałszu, pozy. Zawsze stawiał na uczciwość. „Trzeba tak żyć – mawiał – aby twój widok w lustrze nie budził w tobie wstrętu".

A.M.: – Czy, jako córka Poety, znasz ów szczególny sekret Jego popularności, która ciągle rośnie? Tylu poetów zapomniano... A Gałczyńskiego czyta się wciąż i na nowo.

K.G.: – Dużo w poezji Ojca czarów, magii, księżycowych cieni. Ale sekretu nie ma. Po prostu, jak sądzę, Jego świat jest światem wszystkich ludzi, którzy tam odnajdują swoje wizje, tęsknoty, marzenia. „To wiersz o mnie" – powiada miłośnik Gałczyńskiego, i ma rację. Jest w tych wierszach owa szlachetna prostota, właściwa dziełom sztuki. Nie trzeba ich czytać ze słownikiem wyrazów obcych. Świat poezji K.I.G. zbudowany jest z bardzo zwykłych, niemal banalnych spraw, tworzących życie każdego z nas. Czy może być coś bardziej zwykłego od wygwieżdżonego nieba, księżyca, kwitnącej gałązki wiśni, zieleni łąk, rozmowy zakochanych. Dopóki to wszystko będzie treścią naszego życia, musi pulsować w poezji. Ojciec napisał kiedyś:

„Moja poezja to są proste dziwy,
to kraj, gdzie w lecie
stary kot usnął pod lufcikiem krzywym
na parapecie..."

A.M.: – Czy to prawda, że poetą jest się także w życiu codziennym?

K.G.: – Poezja to szczególny dar. Poeta widzi więcej głębiej rozumie, intensywniej odczuwa, jego świat jest bogatszy w kolory i odcienie. I jest to świat niepodzielny, w którym codzienność jest poezją, a poezja codziennością. Nigdy nie było wiadomo, kiedy Ojcu przyjdzie do głowy jakiś pomysł, obraz, metafora. Ale nade wszystko cenił pracę. Kpił z „pocałunków muzy" i „chwil natchnienia" – uważał, że napisanie dobrego wiersza, jest równie trudne, jak zrobienie wygodnej pary obuwia. Trzeba opanować rzemiosło, mieć sprawny warsztat i pracować, pracować, pracować. A jeśli opromieni to iskra, zwana talentem – może narodzić się dobry wiersz. Jak para wygodnych butów...

A.M.: – Na co w poezji Ojca zwróciłabyś czytelnikom szczególną uwagę?

K.G.: – Na to właśnie, o czym mówimy: że sensem życia ludzkiego, jego sednem, jest twórcza praca. „To trud zrodził urodę" – napisał K.I.G. w jednym z wierszy. A w innym napisał, że „ojczyzna to więcej niż chleb": kochał ziemię ojczystą uczuciem bogatym i pełnym. Oba te wątki stale obecne są w całej twórczości Ojca, są jego przesłaniem do przyjaciół.

A.M.: – A przyjaciele?

K.G.: – To ci wszyscy, którym bliska jest poezja K.I. Gałczyńskiego.

MŁODOŚĆ TRZECH POKOLEŃ

Prace z VIII Konkursu Młodych Piór

Gdy babcia miała 13 lat

Gdy wybuchła wojna, moja babcia miała 13 lat i mieszkała ze swoimi rodzicami w Zamościu. A oto zdarzenie z lat wojennych, które najbardziej utkwiło jej w pamięci.

Pewnego ranka, bardzo wcześnie usłyszała stukanie w okiennicę. Przestraszona, obudziła swoich rodziców. Ojciec otworzył drzwi i zobaczył stojącego za nimi więźnia. Mężczyzna ten był Żydem, uciekł z obozu i prosił o tymczasowe schronienie. Mój pradziadek przyjął zbiega serdecznie, choć wiedział, że pomoc okazana Żydowi równa się karze śmierci. Ukrył Józefa Sitkorza w kryjówce na strychu. Pan Józef chciał po kilku dniach odpoczynku próbować wymknąć się z miasta. Jednak pradziadek namówił go, aby pozostał na dłużej, żeby nabrał sił. Od tego dnia codziennym obowiązkiem babci stało się noszenie po kryjomu jedzenia panu Józefowi. Jeżeli miała trochę czasu, słuchała jego opowieści o rodzinie i o pobycie w obozie.

Tak upłynęło kilka miesięcy. Nastała wiosna. Pan Józef nie chciał dłużej zwlekać z odejściem. Serdecznie pożegnał się i wyruszył w drogę. Potem już o nim nie słyszeli.

Minęło kilka lat, 25 lipca 1944 r. Zamość został wyzwolony. Wokół Rotundy – miejsce masowych egzekucji dokonywanych przez hitlerowców, ludzie nie ustawali w poszukiwaniu zwłok swoich krewnych i bliskich. Harcerze, do których należała również moja babcia, porządkowali miasto i pomagali w grzebaniu ciał znalezionych w masowych grobach na Rotundzie. Wśród zwłok babcia rozpoznała Józefa Sitkorza. Nie wiadomo, jak i kiedy został schwytany i stracony. Babcia postarała się, aby na grobie tego człowieka zawisła tabliczka z jego nazwiskiem.

Choć minęło już 40 lat od tamtych czasów, to babcia nie zapomniała o tym grobie i nadal odwiedza go, a ja często jej w tym towarzyszę.

„MAJA" z Zamościa

VIII KMP● VIII KMP ● VIII KMP ● VIII KMP ● VIII KMP

Wpadła do domu zdyszana; nawet butów nie wytarła.

– Mamo! Mamo! Zakochałam się w Darku!

– W Darku?

– No tak, w tym od tej czerwonej MZ-ty! W tym, co ma ten motor. Jaki on wspaniały!

– Ten motor?

– Nie żaden motor, lecz Darek!

Wybiegła z pokoju nucąc. „Kocham Cię, kochanie moje..."

A mama zamyśliła się...

Taka miłość od siedmiu boleści... Zobaczyła go przed paroma dniami na motorze i nagle wielka miłość. Teraz będzie się stroić przed lustrem. Co za dziewczyna! Jak ja się zakochałam, to... Zaraz... Chwileczkę... Jak to właściwie było?...

Pierwszy raz spotkałam Jurka w szpitalu. To było pod koniec 1945 roku. Przeleżał na polowym łóżku ze trzy miesiące. Chociaż się nim opiekowałam, nie zwracałam na niego większej uwagi. Ranny jak ranny, tyle że więcej obandażowany. W końcu wojna – nic dziwnego. Zanim go wypisali, mnie przenieśli do innego szpitala.

Skończyła się wojna. Wróciłam do Warszawy. Z domu rodzinnego zostały tylko zgliszcza. Jak tysiące warszawiaków nie miałam gdzie mieszkać, ale szukałam wytrwale i po kilku dniach znalazłam „lokal mieszkalny". Była nim zatęchła, bez okien, światła, gazu i wody piwnica. Odnalazłam rodzinę. Teraz w ciasnym pomieszczeniu spało sześć osób, w tym dwoje dzieci.

Tymczasem Jurek szukał mnie w Warszawie. Przypadkowo spotkaliśmy się. To raczej on mnie poznał, nie ja jego. Nie pamiętałam go.

Zaprosił mnie na napój, który w niczym nie przypominał herbaty. Ponownie spotkaliśmy się po dwóch dniach. Wziął mnie pod rękę. Jak dobrzy znajomi szliśmy, rozmawialiśmy, pamiętam, wtedy po raz pierwszy po wojnie śmiałam się. Przysiedliśmy na zgliszczach jakiegoś domu. Byliśmy zakochani w sobie po uszy. Śmiesznie musieliśmy wyglądać; on w starym mundurze wojskowym, ja w szarej spódnicy za kolana, w obszernych, za dużych kaloszach i w obszernym waciaku. Dobrze nam było razem. Zaczęliśmy spotykać się codziennie. Ach, jaka to była radość, gdy Jurek pożyczył dwa rowery i pojechaliśmy za miasto. Wtedy on narwał mi bukiet polnych kwiatów: maki, chabry, dzikie goździki, stokrotki – coś cudownego. Wkrótce znalazł lepsze mieszkanie. Staliśmy się małżeństwem. Taka to była moja pierwsza i jedyna miłość, która trwa do dzisiaj...

– Ojej, ziemniaki się przypalają!... Inka, przestań się stroić!

– Mamo, dobrze wyglądam?

– Dobrze. Nawet bardzo dobrze.

– No, to lecę.

– Ale wróć przed dziesiątą!

– Okey. Pa.

Pocałowała mnie w policzek i poleciała. Zobaczymy, co robi na dworze. Wsiada na motor. On na nią czekał. Coś niesamowitego.

Brruumm, Brruumm, Buuuuurrrrrrrr... No, i odjechali. Zwyczajna kolej losu. My z Jurkiem kiedyś na rowerach. Oni – na motorze... No cóż... „Słodkiego, miłego życia..." – jak śpiewa to ich Kombi.

„INKA"

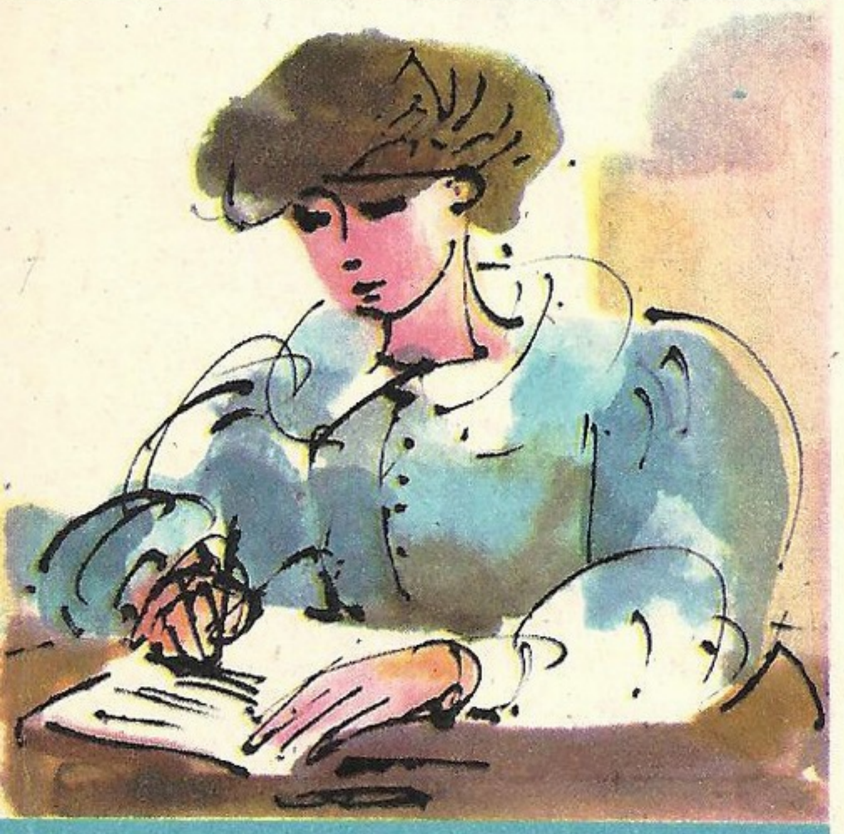

Trzy egzaminy

50 lat temu (ze wspomnień babci)

Bardzo zażenowana wysiadłam z tramwaju na ponurej Chausseestrasse. Przede mną stały dwie zwaliste czynszowe kamienice, za mną – wielki, gotycki kościół. Wczoraj stryj Leon mówił, że Niemcy już go nie odbudują, bo to „dosyć cenny zabytek" – jeszcze z czasów piastowskich. Właśnie – czasy piastowskie, a teraz... kim ja właściwie jestem – Niemką czy Polką? Mówię bardzo ładnie po niemiecku, ale też szczycę się tym, że umiem mówić gramatycznie po polsku. Chyba jednak jestem Polką, chociaż... gdy byłam ostatniego lata na wsi, w Polsce, nie chcieli się ze mną bawić, bo jestem „Niemcem". Sama już nie wiem. Taka Joasia wie, kim jest, i nie wstydzi się mówić po polsku nawet w tramwaju. Katrin jest Niemką i sprawa zamknięta. A ja... jak jestem Polką, to dlaczego idę do niemieckiej szkoły?

O! już stoję przed moją przyszłą szkołą – mamcia ciągnie mnie za rękę, a potem wpycha delikatnie, ale stanowczo do środka – „O, mein Gott!" – jęknęła moja dusza po niemiecku. Stałam na ogromnym korytarzu, pod ścianami zobaczyłam ustawione w pary, zielone z przerażenia i omdlałe ze strachu – moje przyszłe koleżanki. Gdzieniegdzie przewijały się majestatyczne postacie profesorów. Blade dziewuszki nic nie mówiły. Słychać było tylko potok niemieckich słów, wypływających z ust smutnego pana, który miał długie wąsy i był dyrektorem tej szkoły. „O, Boże!" – westchnęłam tym razem po polsku. Nie miałam jednak chwili na myślenie, bo oto stanął nade mną jeden z poważnych panów. Wprowadził mnie do szeregu i zaraz potem na jego znak długi wąż granatowych mundurków ruszył w głąb korytarza. Zdążyłam jeszcze spojrzeć na kochaną mamcię – uśmiechnęła się i pokiwała wesoło głową. „Nie przejmuj się! Egzamin to nic strasznego! To jedynie formalność" – brzmiały mi w uszach ostatnie jej słowa. Przez wiele krętych korytarzy doszliśmy do sali egzaminacyjnej. Na stolikach leżały karty papieru i stały kałamarze. Każda z bladych dzziewcząt stanęła obok wyznaczonej ławy i na dany przez profesora znak – odmówiłyśmy wspólnie modlitwę. Dopiero po paru zdaniach dotarło do mnie, że mówię po polsku, i to nie tylko ja, ale także blade panienki i profesorowie. Miałam mętlik w głowie.

Z zakłopotania wybawił mnie smutny pan z wąsami, który oznajmił, iż egzamin rozpoczął się. Podano nam tematy. Pisałyśmy oczywiście po niemiecku, ale Cała Wysoka Komisja mówiła do nas po polsku... Zrozumiałam wtedy, kim jestem i dlaczego do takiej właśnie szkoły zapisali mnie rodzice.

Kiedy ukończyłam gimnazjum, postanowiłam zostać nauczycielką. Zaczęłam studia w niemieckim Wrocławiu – w Bräslau, ale pracę magisterską złożyłam już na Uniwersytecie Wrocławskim – jako Polka, w wolnej Polsce.

25 lat temu (ze wspomnień mamy)

Dziwne, że nawet w tak straszny dzień może być pogoda. Powinno padać jak z cebra, powinny bić pioruny i wiać przejmujący wiatr. Jednak nic z tego: słońce świeci jak zwariowane, ptaki śpiewają, kwitną kasztany, a ja „gotuję się" w sztywnej, jeszcze „unrrowskiej" koszuli i wypłowiałej, granatowej spódniczce.

Ulica Zwycięstwa, jeszcze jeden zakręt i: „To już tu" – słyszę głos swojej mamy, która przez całą drogę wspominała swój dziwny egzamin i jest (jak każda matka) bardziej przerażona niż ja.

Wielkie drzwi, kamienne schody i... korytarz. Przerażająco wielki korytarz. Jest taki straszny gwar, że nie słyszę tego, co mówi do mnie mama. Bardzo dużo dziewcząt, wszystkie się boją, ale chyba są szczęśliwe. Śmieją się, opowiadają dowcipy, pocieszają smutnych rodziców. Po paru minutach zza potężnych drzwi wyłania się pani w zgrabnie uszytym, szarym kostiumiku. Próbuje uciszyć dziewczęta gestem dłoni, potem słowem. Okazuje się, że to właśnie ona jest w tej szkole dyrektorem. Kilka słów i „ciągniemy" za nią przez labirynt korytarzy i korytarzyków do ogromnej sali egzaminacyjnej. Jeszcze ostatnie „muszę zdać!" i już dostaję kartki do pisania. Śmiechy cichną, ustają rozmowy; zaraz zostaną podyktowane tematy. Czy dam radę? Czy będę mogła uczyć się w tej szkole? Pani dyrektor dźwięcznym głosem dyktuje tematy wypracowań.

Wybieram temat, który brzmi: „Czy i ty możesz wprowadzać w świecie nowy ład?" Napisałam, że marzę o tym, żeby studiować medycynę i jak sobie wyobrażam swoją przyszłą pracę.

Potem były lata nauki, matura, znów lata nauki w akademii medycznej, a potem to już zaczęłam wprowadzać ten „nowy ład". Nie w całym świecie, ale po prostu tam, gdzie mi przyszło pracować.

Rok temu (z moich własnych wspomnień)

Jejku, czy ta mama musi cały czas ze mną chodzić? Czy na swój pierwszy dorosły egzamin nie mogę pójść sama? Albo na przykład z Markiem? Och, jakby było romantycznie – wychodzę nieco blada i mówię: „To było straszne, chyba nie zdałam", wtedy on: „Nie martw się, wszystko będzie OK!" Bierze mnie za rękę i zaprasza na wielkie lody z polewą truskawkową.

Tak nie będzie. Gdy ja będę pisała na jakiś bezdennie głupi temat, mama będzie się denerwowała i łaziła jak „lew w klatce" po korytarzu.

Po egzaminach Jolka urządza wielką imprezę, a znów we środę idę z Markiem na kapitalny film wojenny.

Mama mówiła, że już przed egzaminem do liceum postanowiła zostać lekarzem. Ja nie wiem nic. Wiem tylko, że chcę mi się żyć!

Już szkoła. Podobno kiedyś chodziło się tu w mundurkach. Fajnie, że to było „kiedyś". Teraz trzeba być tylko w granato-bielach. Ja mam boską spódnicę – trzy falbanki, granatowe wypustki i oczywiście – szeroki pas. Dziewczęta są różnie ubrane, ale nie najgorzej. Poza tym są bledziutkie na buźkach i mają łezki w oczętach. One się chyba boją?! Ja się nie boję. Zresztą nie mam czasu na myślenie, bo oto już wchodzimy do potężnej sali. Porozsadzano nas według alfabetu i rozdano kartki. Potem były ceregiele z kopertą, która była zalakowana, sprawdzanie pieczęci, otwieranie... Odczytano tematy. Od razu wiedziałam, który będzie mój: „Kamienie na szaniec" jako opowieść o ludziach, którzy umieli pięknie żyć i pięknie umierać. Pisałam o wszystkim, co mnie gnębiło – o moim uwielbieniu i... zazdrości w stosunku do tych, którzy mogli „wykazać się" w walce. To był temat – rzeka. Mogłabym pisać cały dzień.

Zdałam egzamin i uczę się. Uczę się w szkole, która już od trzeciego pokolenia jest naszą rodzinną szkołą (obie seniorki pobierały tutaj nauki). Po maturze chcę studiować na Polibudzie – architekturę, a potem – zobaczycie. Moje domy będą tak wysokie, że będą tonąć w chmurach. Będą takie wielkie, że wszyscy ludzie będą mieli gdzie mieszkać.

DOROTA

1. *Barbara Bakalarz*, lat 13, widokówki, przepisy kulinarne, moda – Chałupki 62, 26-027 Dębska Wola
2. *Ryszard Bednarz*, lat 14, jęz. angielski, filatelistyka, film – 32-051 Wielkie Drogi 189
3. *Anna Biedrzycka*, lat 14, historia, muzyka pocztówki, naklejki – ul. Szkolna 6, 82-420 Ryjewo
4. *Anna Blejder*, lat 12, muzyka, filatelistyka, łyżwiarstwo figurowe – ul. Niestachowska 14, 25-900 Kielce
5. *Beata Bojarska*, lat 14, humor, psychozabawa, wiersze do pamiętnika – Czadrów 103, 58-405 Krzeszów
6. *Dorota Brauer*, lat 14, muzyka, plakaty, humor, moda – Linowiec 27, 83-200 Starogard Gdański
7. *Beata Bród*, lat 14, wiersze do pamiętnika, moda, piosenki – Giedlarowa 470a, 37-300 Leżajsk
8. *Marta Bukowińska*, lat 15, matematyka, medycyna, sport – ul. Wł. Gomułki 41/49, 39-400 Krosno
9. *Anna Bylińska*, lat 14, archeologia, konie, znaczki – ul. Broniewskiego 97/28, 01-876 Warszawa
10. *Beata Celijowska*, lat 14, siatkówka, rock, piosenkarze – ul. Zawadzkiego 4/39, 42-400 Zawiercie
11. *Agnieszka Chuda*, lat 14, rock (kasety, płyty, plakaty) – Stobiecko Szlacheckie 69, 97-561 Ładzice
12. *Jola Cicenaitie*, lat 13, pocztówki, kalendarzyki, muzyka, sport – LSRR, Wilno, Szeszkinie 232010, ul. Duksztu 22-16
13. *Mirosław Cichowski*, lat 13, modelarstwo lotnicze, plastyka, rock – ul. Wodna 1, 18-320 Andrzejewo
14. *Mirosław Cieszyński*, lat 12, anegdoty, kulturystyka, rock – ul. Tarnowska 68a, 37-121 Husów
15. *Anna Czuba*, lat 13, jęz. angielski, numizmatyka, rock – Os. Kopernika 5e/6, 69-200 Sulęcin
16. *Dorota Drzymała*, lat 14, kaktusy, psy, rock, moda – ul. Złota 35/11, 40-106 Katowice
17. *Ewa Duduś*, lat 14, rock (zespoły, plakaty, płyty, kasety) – Os. Kopernika 7/12, 37-500 Jarosław
18. *Wioleta Galiszkiewicz*, lat 12, szydełkowanie, haft, krawiectwo, moda – ul. Naftowa 29b/48, 41-222 Sosnowiec
19. *Wiesława Gierlasińska*, lat 14, robótki ręczne, przepisy kulinarne, muzyka – Łubienko 117, 38-205 Łajsce
20. *Krystyna Gigilewicz*, lat 13, naklejki, pocztówki, opakowania po gumach – LSRR, 232017 Wilno, ul. Rigos 9/47
21. *Katarzyna Gilewicz*, lat 13, chemia, rośliny doniczkowe, zoologia, haft – ul. Prusa 17, 23-400 Biłgoraj
22. *Renata Golińska*, lat 13, biologia, dżudo, karate, muzyka – ul. Zielona 5/19, 89-200 Poddębice
23. *Piotr Grabowski*, lat 14, biologia, kaktusy, karate – ul. K. Szymanowskiego 18/13, 32-510 Jaworzno
24. *Barbara Gręda*, lat 14, geografia, dżudo, widokówki – ul. 1 Maja 3/45, 18-200 Wys. Maz.
25. *Sławomir Gryszkiewicz*, lat 14, humor, piłka nożna, moda – ul. Na Wzgórzu 45/2, 85-327 Bydgoszcz
26. *Monika Grzempowska*, lat 14, jęz. obce, medycyna, sport – Kosowo Wlkp, 63-801 Gostyń Stary
27. *Małgorzata Haraburda*, lat 13, fantastyka, muzyka – 19-312 Pisanica k. Ełku
28. *Renata Horoszko*, lat 12, botanika, zoologia, znaczki – ul. Rew. Październikowej 13/19, 33-380 Krynica
29. *Elwira Idziaszczyk*, lat 15, filatelistyka, rock, plakaty, karate – ul. Kombatantów 30/8, 48-200 Prudnik
30. *Krzysztof Idzik*, lat 14, sport, humor, rock – Os. Zawadzkiego 6/18, 34-400 Nowy Targ
31. *Grażyna Iwańska*, lat 14, rock, plakaty, książki – ul. Prosta 2/4, 59-400 Jawor
32. *Henryk Jabłoński*, lat 14, znaczki, banknoty, monety, proporczyki – Lipienica 2, 69-220 Ośno Lub.
33. *Joanna Jacek*, lat 13, rock, plakaty – Przedmieście 12, 38-120 Czudec
34. *Iwona Jóźwiak*, lat 15, wiersze, wróżby, rock – Strzały, 87-820 Kowal
35. *Anna Karge*, lat 14, biologia, książki, widokówki – ul. Polna 18, 64-541 Podrzewie
36. *Ewa Keffer*, lat 15, historia, muzyka, jęz. polski, widokówki – ul. Waryńskiego 6/2,87-100 Nowa Sól
37. *Beata Kęczkowska*, lat 14, poezja, książki, muzyka – Borek 113/2, 26-931 Zajezierze
38. *Edyta Klajbor*, lat 14, rock (plakaty, fotosy) – ul. J. Krasickiego 30/24, 87-100 Toruń
39. *Urszula Klatka*, lat 14, historia, turystyka, widokówki – ul. Oficerska 4/32, 38-400 Krosno
40. *Dagmara Klimczak*, lat 14, historia, książki, moda, rock – ul. B. Chrobrego 114/7, 55-200 Oława
41. *Andrzej Kobiela*, lat 14, książki, znaczki, rock, plakaty – ul. Stef. Okrzei 3, 44-337 Jastrzębie Zdrój
42. *Wiesława Kowalczyk*, lat 15, jęz. obce, rock, plakaty – ul. Powroźnicza 18/20 m. 9, 80-828 Gdańsk
43. *Robert Krajewski*, lat 12, geografia, ornitologia, akwarystyka, rock – Komorów II m 40, 97-200 Tomaszów Maz.
44. *Marta Krawczyk*, lat 13, zwierzęta, słynni aktorzy – ul. 28 Lutego 4, IIIb/1, 78-400 Szczecinek
45. *Katarzyna Kowalska*, lat 14, filatelistyka, piosenki, plakaty, humor – ul. Żuromińska 3/183, 03-341 Warszawa
46. *Katarzyna Królska*, lat 14, jęz. obce, filatelistyka, widokówki – ul. Słoneczna 31, 64-400 Międzychód
47. *Joanna Krzysztofiak*, lat 13, pocztówki, naklejki, karate – ul. Sportowa 2/15, 63-000 Środa Wlkp.
48. *Natasza Kubica*, lat 12, filatelistyka, wróżby, rock – ul. K. Wielkiego 8b/10, 47-220 Kędzierzyn-Koźle
49. *Grażyna Kurek*, lat 13, znaczki, piosenki, moda, rock – Żelechów 48, 66-220 Łagów Lub.
50. *Agnieszka Kuśmierska*, lat 12, widokówki, filatelistyka, gimnastyka art. – Parkowa 24, 05-660 Warka
51. *Renata Kwiatkowska*, lat 14, konie, hippika, rock – Owieczki 71, 98-363 Klonowa
52. *Stanisława Lewandowska*, lat 14, poezja, książki, rock – ul Główna 31, 26-433 Goździków
53. *Majka Lewczuk*, lat 14, tarcze szkolne, rock – ul. Bieruta 35/6, 33-380 Krynica
54. *Alicja Lusiak*, lat 13, przyroda, książki, podróże kosmiczne – ul. Konopnickiej 5/7, 64-200 Wolsztyn
55. *Joanna Łach*, lat 14, widokówki, zwierzęta, rock – ul. H. Sawickiej 69/1, 43-100 Tychy
56. *Katarzyna Łęczycka*, lat 12, historia, biologia, geografia, moda – ul. Chrobrego 15/53, 08-110 Siedlce
57. *Agnieszka Łuksza*, lat 12, gimnastyka, łyżwiarstwo, moda, przepisy kulinarne – 59-818 Siewierzyn 276
58. *Małgorzata Maciejewska*, lat 15, widokówki, rock, plakaty – ul. Kołłątaja 16/25, 41-300 Dąbrowa Górnicza
59. *Walentyna Madeksza*, lat 14, pocztówki, nalepki, sport, rock – LSRR, Wilno, ul. Przywalskiego 37-37
60. *Bożena Kakarczyk*, lat 13, filatelistyka, rock – Os. Śródmieście 9/9, 16-300 Augustów
61. *Małgorzata Malicka*, lat 15, jeździectwo, pocztówki, samochody – ul. Kołobrzeska 42e/29, 80-394 Gdańsk
62. *Paweł Marianowski*, lat 14, motoryzacja, akwarystyka, numizmatyka – ul. Kurkowa 32/5, 50-210 Wrocław
63. *Agata Matuszek*, lat 14, sport, taniec towarzyski, plakaty, rock – ul. Żurawia 17/10, 59-337 Lubin
64. *Edyta Miłowska*, lat 13, geografia, znaczki, rock – ul. Krakowska 19, 26-800 Białobrzegi
65. *Beata Mrowicka*, lat 14, widokówki, znaczki, nalepki, rock – ul. Kolejowa 6/48, 62-600 Koło
66. *Joanna Nogalska*, lat 13, filatelistyka, plakaty, rock – ul. A.G. Siedleckiego 29/32, 85-868 Bydgoszcz
67. *Elżbieta Okarmo*, lat 14, poezja (Konopnicka, Baczyński) – Lipnica Dolna 106a, 38-211 Krajowice
68. *Antoni Oleksak*, lat 15, samochody, karate, kulturystyka – Kurzyna Mała 37, 37-408 Kurzyna Średnia
69. *Sylwia Panek*, lat 13, teksty piosenek, piłka nożna, plakaty – ul. Leśna 2, 63-507 Kobyla Góra
70. *Iwona Paradowska*, lat 13, medycyna, rock, kwiaty – ul. Pszczela 2/3, 09-420 Płock
71. *Adam Pawlaszczyk*, lat 13, kynologia, komiksy, widokówki – ul. Zawadzkiego 27/19, 44-300 Wodzisław Śl.
72. *Irena Pilch*, lat 13, znaczki (fauna, flora), pocztówki (kwiaty) – ul. Ustrońska 41, 43-440 Goleszów
73. *Marta Pietralik*, lat 15, siatkówka, znaczki, widokówki – ul. Wschodnia 4/57, 42-400 Zawiercie
74. *Jolanta Pietrzak*, lat 14, przyroda, pocztówki – Słupia Wielka, 63-022 Słupia W.
75. *Mirosław Piotrowski*, lat 13, widokówki, kalkomania, muzyka (skrzypce) – LSRR Wileński rej. 234040, p-ta Buiwidiszki, wieś Raiszi
76. *Agnieszka Piotrowska*, lat 15, biologia, książki, rock, plakaty – Kuchary-Skotniki, 09-448 Głodziec
77. *Artur Płachetka*, lat 13, fantastyka, zwierzęta, rock – ul. Leśna 8h/12, 47-330 Zdzieszowice
78. *Anna Podrażka*, lat 14, muzyka, plakaty, moda – ul. Broniewskiego 87/1, 01-876 Warszawa
79. *Bogusława Pondo*, lat 14, sport, rock, plakaty – Os. Młodych 5/56, 39-120 Sędziszów Młp.
80. *Anna Sandecka*, lat 14, ziołolecznictwo, rzeźba, poezja, parapsychologia – ul. Polna 29/88, 24-100 Puławy
81. *Marek Sawicki*, lat 13, znaczki, numizmatyka, rock – Szerenosy 28, 16-061 Juchnowiec
82. *Magdalena Sienkiewicz*, lat 12, znaczki, widokówki – ul. Piastowska 15a/16, 15-207 Białystok
83. *Aldona Siwińska*, lat 12, matematyka, filatelistyka, rock – Os. XXX-lecia PRL 5/62, 47-303 Krapkowice 3
84. *Monika Sobolewska*, lat 13, znaczki, turystyka, hippika – ul. Jasna 4/2, 05-082 Blizne k. Warszawy
85. *Ilona Stysiak*, lat 12, filatelistyka, widokówki, piosenki – ul. płk. Hynka 8/1, 62-425 Witkowo
86. *Sylwia Suszka*, lat 14, zoologia, przepisy kulinarne, moda – ul. Wyzwolenia 1/64, 62-510 Konin
87. *Danuta Szatan*, lat 15, muzyka, Japonia, Chiny, taniec – ul. Sportowa 28/30 m 28, 26-600 Radom
88. *Agata Tarasiewicz*, lat 13, pocztówki, teatr, przepisy kulinarne – ul. Piastowska 23/27, 15-207 Białystok
89. *Ewa Tulkowska*, lat 12, matematyka, plakaty, rock – ul. Boya-Żeleńskiego 9/53, 95-100 Zgierz
90. *Marta Winiarska*, lat 15, jęz. niemiecki, aerobic, sport, moda – ul. Oficerska 1/54, 38-400 Krosno
91. *Anna Winnicka*, lat 13, historia, turystyka – ul. H. Sawickiej 5/28, 45-709 Opole
92. *Aneta Wiśniewska*, lat 12, znaczki, szydełkowanie, rock – Brąchnówko, 87-140 Chełmża
93. *Anna Wolska*, lat 14, książki, wiersze (własne), sport, samochody – ul. H. Sawickiej 11a/14, 63-300 Pleszów
94. *Michalina Wrzosek*, lat 15, poezja, sztuka, przyroda – Garbary 2/4 m 6, 80-827 Gdańsk
95. *Beata Wypych*, lat 13, fantastyka, plakaty, sport, rock – Os. Traugutta 9/44, 99-320 Żychlin
96. *Magda Zakrzewska*, lat 15, jęz. niemiecki, rock (płyty), kasety, plakaty – ul. Wolczaka 40a/c7, 66-400 Gorzów Wlkp.
97. *Magdalena Zapora*, lat 15, biologia, poezja, rock – ul. M. Fornalskiej 9/9, 53-641 Wrocław
98. *Małgorzata Zawistowska*, lat 14, matematyka, fotografika, moda – ul. Żytnia 12, 18-100 Łapy
99. *Magdalena Zgud*, lat 14, zoologia, akwarystyka, medycyna, kanarki – Os. Kościuszkowskie 6/466, 31-858 Kraków
100. *Lila St. Zienowiczówna*, lat 13, widokówki, książki, zesp. muzyczne – ZRSR, rej. wileński 234048, p-ta Bujwidiszki, wieś Płacieniszki

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie	72 zł
półrocznie	144 zł
rocznie	288 zł

WARUNKI PRENUMERATY

● **Dla prenumeratorów indywidualnych:**
- osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
- osoby zamieszkałe w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora; wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty";

● **Dla instytucji i zakładów pracy:**
- instytucje i zakłady pracy w miastach, w których znajdują się Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w tych oddziałach;
- instytucje i zakłady pracy w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11; Cena prenumeraty zagr. na rok 1985 z dostawą pocztą zwykłą wynosi: kwartalnie – 108 zł, półrocznie – 216 zł, rocznie – 432 zł. Szczegółowe informacje można uzyskać pod telef. 20-12-71 w. 577 (Warszawa)

● **Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę w 1985 r.**
na II kwartał do 28 II; na III kwartał i na II półrocze do 28 V; na IV kwartał do 30 VIII.

Dwutygodnik dla młodzieży
10 grudnia 1984 – Warszawa

Skład oraz druk wykonały
Zakł. Graf. „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.
Nakład 350 300 egz.
Zam. 4128/CD. T-39

ADRES REDAKCJI
00-950 Warszawa
ul. Spasowskiego 4
skrytka pocztowa 380

TELEFONY
26-24-31 w. 82 lub 80
26-26-31 (redaktor naczelny)

INDEKS: 36876

KRZYŻÓWKA Z IDOLEM

na ostatniej stronie

POZIOMO: 1) łapanie ryb, 5) magazyn (albo porządek, albo układanie), 8) skłonność, namiętność, impuls, 11) wzór doskonałości, 12) imieniny obchodzi w Wigilię, 13) kopia (ale nie rycerska), 14) służy nie tylko do noszenia czapki, 15) pobudka, powód (albo wątek literacki), 16) część głowy, 19) płomień, 22) nie on, 24) gra – niegdyś b. popularna – polegająca na podbijaniu kijem małej piłki, 26) pisarz sławiący kogoś, 27) podium dla mówcy, 28) imię męskie, 32) wyrobienie towarzyskie, 33) czwarta część garnca (albo interwał prosty w muzyce), 34) termin szachowy, 37) duży kawał słoniny, 38) termin stosowany zarówno w sporcie, jak i w odlewnictwie, 40) nagromadzenie minerałów w skorupie ziemskiej, 41) części nóg, 44) rodzaj futrzanego kołnierza, 45) wiązanie stalowe wzmacniające budowlę, 48) kłujący ból (także część ostu), 52) niewielki ptak łowny z rodziny bekasów, 55) prosta kreska, 56) autor „Chłopów", 57) rzęsisty deszcz (także studnia), 58) okrągły plac lub część kapelusza, 59) zalotnik, wielbiciel, 60) pospolity chwast zbożowy, 61) grzyb kapeluszowy albo drapieżny ptak.

PIONOWO: 1) arlekin (także chłopak wygłupiający się), 2) znajduje się w sypialni, 3) mara nocna, widziadło, 4) poseł nowogródzki (1746–80), który wsławił się niezłomnym oporem przeciwko rozbiorowi Polski, 5) wyraz, 6) gra, w której jedno dziecko stara się uderzyć drugie w cofającą się rękę, 7) wzór na czymś, 8) świątynia we wschodniej i południowej Azji, 9) proszenie, 10) utwór literacki przeznaczony do odegrania na scenie, 17) uciekinier, 18) myśliwy, 20) zimowe legowisko niedźwiedzia, 21) państwo faraonów, 22) wyspa roślinności na pustyni, 23) gwałtowny szał, 24) ptak z pięknym ogonem, 25) rzeka, pobliżu w której znajdują się piramidy, 29) kwiat albo cukierek mleczny, 30) zaraźliwa choroba lub pokarm dla domowych zwierząt, 31) strzecha, 35) roślina lecznicza, 36) miasto, w którym ogłoszono Manifest Lipcowy PKWN, 38) oblicze, twarz, fizjonomia, 39) miasto w Grecji (niegdyś greckie państwo), 42) puls, 43) część dłoni, 45) ten, co krytykuje, 46) głębia obrazu (także podstawowa płaszczyzna), 47) zgraja, 48) kilka osób mających wspólny – nie najczystszy – interes, 49) broń ułańska, 50) stan pogotowia (często ogłaszany np. wśród harcerzy), 51) ogłoszenie w prasie, 52) kamizelka ratunkowa, 53) budowla obronna (także część drzwi), 54) styl pływacki.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać litery z barwnych pól (według oznaczonej kolejności), które utworzą złotą myśl.

ROZWIĄZANIE krzyżówki (wystarczy samo hasło) nadsyłajcie w ciągu 10 dni od ukazania się tego numeru pod adresem: Redakcja „Płomyka", ul. Spasowskiego 4, 00-950 Warszawa, skr. poczt. 380. Rozwiązanie prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych lub z dopiskiem na kopercie „Krzyżówka z nru 23". Pomiędzy czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE krzyżówki z nru 19 – Największym mówcą świata jest sukces (Napoleon)

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki wylosowali: Agnieszka Cwajna (Ścinawa Mała), Jacek Dudziak (Kościan), Dzieci ze świetlicy przy Szk. Podst. (Kruszewo), Renata Miastowska (Warszawa), Monika Miśtal (Ostrowiec Św.), Katarzyna Nalepa (Rzeczka), Karol Nowak (Drezdenko), Karolina Przybysz (Żubrów), Robert Sikorski (Białystok), Dorota Wiszniewska (Augustów)

POCZTA »PŁOMYKA«

Chcę iść do liceum sportowego

Mieszkam na wsi, jestem jedynaczką i chodzę do VIII klasy. Za parę miesięcy będę musiała wybrać zawód. Bardzo bym chciała iść do liceum sportowego, ponieważ od wielu lat biorę udział w zawodach lekkoatletycznych oraz interesuję się sportem. Niestety rodzice mi nie pozwalają. Mówią, że będę bez zawodu, a mam po nich przejąć gospodarstwo. Tłumaczę, że będę miała zawód nauczycielki w-f lub trenerki. Nawet ciotki i wujkowie są przeciwni sportowej szkole. Koleżanki z klasy mówią, że jestem najlepsza w całej szkole z w-f i abym nie ustępowała, to może rodzice się przełamią i pozwolą. Jak konać rodziców? *„Kamila"*

W takich wypadkach rolę mediatora pomiędzy uczniem a rodzicami powinna spełnić szkoła. Poproś swoją wychowawczynię, żeby porozmawiała z rodzicami. Jeśli rzeczywiście masz szanse dostać się do szkoły sportowej (co wcale nie jest takie łatwe), to warto z tej szansy skorzystać. A gdyby okazało się po zdaniu tam matury, że jednak rezygnujesz ze sportu – to będziesz mogła, jak po każdym innym liceum, zdawać na dowolną uczelnię. Jeśli zaś zdobędziesz wyższe wykształcenie w zakresie w-f, a następnie wrócisz na gospodarstwo – to znajdziesz dodatkowe zatrudnienie jako nauczycielka w-f lub trenerka miejscowego koła sportowego. Takich specjalistów ośrodki wiejskie będą potrzebować z roku na rok coraz więcej.

Popadam w kompleksy

Chciałbym przedstawić moją dość krytyczną sytuację. Zacznę od tego, że nigdy mi się nic nie udawało, uczyłem się kiepsko, a w sporcie byłem ofiarą. W sumie: wielkie zero, poniżane przez kolegów. Tak było w podstawówce, w moim poprzednim miejscu zamieszkania. Gdy dostałem się do liceum, myślałem, że się trochę zmieni. Jednak tak się nie stało. Wprawdzie mieszkam w mieście, mam własny pokój, ale to nic nie znaczy wobec tego, co teraz napiszę. Otóż nigdy nie przywiązywałem dużej wagi do modnych zespołów rockowych. Uwielbiam Beatlesów i kilka innych mniej znanych grup, ale kaset prawie nie posiadam. Dlatego też jestem poniżany przez kolegów, którzy się świetnie orientują w tej dziedzinie. Ale to nie wszystko. Kompromituję się nie tylko nieznajomością zespołów, ale również lepszą niż przeciętna nauką, nieznajomością tzw. „łaciny kuchennej", słabą sprawnością fizyczną, a także tym, że nie paliłem i nie piłem. Koledzy ośmieszają mnie przy każdej sposobności, jestem tematem nieustannych docinków, kpin i plotek. Mimo to (sam się temu dziwię) jestem optymistą. Potrafię patrzeć na świat przez różowe okulary, choć w głębi duszy popadam w kompleksy. Chciałem mieć dziewczynę. Jestem jednak strasznie nieśmiały i jeden z moich kolegów zakręciwszy się zręcznie wokół obiektu moich westchnień, odebrał mi wszelką nadzieję. Unikam dyskotek i kin. Ostatnio zacząłem palić (do picia jeszcze nie doszło) i w ogóle czuję się wykończony. Błagam, poradźcie mi, co dalej robić, gdyż w takim stanie daleko nie zajdę. Zdaję sobie z tego dobrze sprawę. *Zrozpaczony Rafał*

Drogi Rafale! Wystarczy uważnie przeczytać twój list, żeby dojść do przekonania, że masz w sobie dość siły, aby wyzwolić się z kompleksów w mądrzejszy sposób niż... chwytanie za papierosy po to tylko, żeby dorównać krytykowanym przez siebie kolegom. Jeśli więc prosisz o radę, to: pozostań wierny swoim zasadom, a koryguj je nie po to, żeby się komuś przypodobać, lecz żeby samemu mieć z tego pożytek. Oczywiście, najłatwiej jest upodobnić się do otoczenia, w którym trzeba się obracać, starając się przypodobać innym, szczególnie prowodyrom. Tym, co najbardziej bezwzględnie narzucają swój styl bycia, swoją „łacinę", swoje upodobania co do stroju czy też modnej muzyki. Oni nie tolerują innych niż swoje gustów i obyczajów. Tzw. „szara masa" bezmyślnie idzie za ich przykładem. Kogo jednak stać na „bycie sobą", ten nie ulega prawu pięści (wśród chłopców), potędze plotki (to raczej wśród dziewcząt), czy też wyszydzaniom. Ludzie ambitni i myślący, do których i Ty chyba należysz, bronią swojej inności. I dobrze na tym wychodzą, choć nie mają łatwego życia. Kształtują swoją osobowość, hartują charakter. Ale nie powinieneś dążyć do zupełnego izolowania się. Dlaczego unikasz chodzenia do kina? Czy nie znajdziesz kogoś, z kim mógłbyś porozmawiać, kto ma podobne zainteresowania? Przełam swoją nieśmiałość. A w ogóle to zbyt wiele uwagi zwracasz na to, co inni o Tobie mówią. Nie doceniasz warunków, w jakich mieszkasz. Pomyśl, że inni, podobni do Ciebie, muszą chronić swą niezależność w warunkach internatowych. Powinieneś zebrać siły i z całą pasją poświęcić się jakiejś dziedzinie związanej z przyszłymi studiami. Dziś się z Ciebie śmieją koledzy. Ty się będziesz śmiał, gdy po maturze przyjdzie czas zdobywania indeksów. Nie osłabiaj w sobie optymizmu urojonymi kompleksami i nigdy nie mów, że jesteś zrozpaczony, bo to oznacza słabość, załamanie.

Wziął pierścionek

Chodziłam z nim zaledwie przez dwa tygodnie. Wziął na pamiątkę naszej przyjaźni srebrny pierścionek, który – mówiąc szczerze – dość drogo kosztował. Spotykaliśmy się często, ponieważ mieszka w tym osiedlu co ja. Na ostatnim spotkaniu prosił, żebym przyszła na dyskotekę, która miała się odbyć w osiedlowym klubie. Przyszłam i czekałam dwie godziny, a on się nie pojawił. Nie mogłam uwierzyć w to, co mi powiedziała Zyta, lecz to, co zobaczyłam w szkole, potwierdziło jej słowa i doprowadziło mnie do rozpaczy. Szedł korytarzem z moją najlepszą koleżanką, która miała na palcu mój pierścionek. Pobiegłam do łazienki, aby się wypłakać. Nie mogę zrozumieć, jak on mógł tak postąpić i dlaczego ona wzięła ten pierścionek, skoro wiedziała, że to mój? Zawsze okazywała mi sympatię i przyjaźń. Dziewczyny, nigdy nie wierzcie chłopcom i fałszywym przyjaciółkom! Wydrukujcie ten list; może zapobiegnie on innym nieszczęściom... *Magda, 15-latka z Płockiego*

A kto to słyszał ofiarowywać (bo przecież chyba nie wziął, tylko sama mu dałaś) „dwutygodniowemu amantowi" pierścionek! Wystarczyło dać lizaka. Akurat tyle była warta ta przyjaźń. A swoją drogą dziewczyna, która w taki sposób weszła w posiadanie twojego pierścionka, jeśli ma choć trochę ambicji oraz uczciwości – powinna Ci go oddać. O chłopcu – szkoda gadać...

Wokół nastolatków

„Słodkiego, miłego życia..."

Rozjarzone światłami, wypełnione muzyką wnętrze dyskoteki stanowi świetną scenerię do nowoczesej bajki. Ciemne, puszyste włosy Violetty lśnią jeszcze bardziej niż zwykle, a długie, przyciemnione tuszem rzęsy są wprost urocze. Violetta uśmiecha się do samej siebie. Poprawia swoją zagraniczną bluzkę, nabytą za ciężkie pieniądze od bazarowego handlarza. Bezbarwną szminką poprawia wargi. W porządku. Już znowu czuje się jak królewna na balu wydanym na jej cześć. Bywalcy dyskoteki witają ją uśmiechami. Wszyscy ją tu znają. Violetta obrzuca ich swoim charakterystycznym, pełnym wyższości spojrzeniem. Uśmiecha się łaskawie. Księżniczka!

Któryś z chłopców porywa ją do tańca. Szepcze jej coś do ucha, żartuje. „Powiem ci kawał, chcesz? Przychodzi facet do lekarza..." Jak ten chłopak ma na imię? To chyba ten Andrzej, z którym wracała przedwczoraj do domu. A może to zupełnie ktoś inny? Nieważne!...

Chwila przerwy, disc-jockey zmienia taśmę. Violetta robi słodko-zmęczoną minę. Jakiś chłopak obejmuje ją ramieniem.

– Nie padaj, laleczko, bo się roztłuczesz...

Violetta odpowiada wdzięcznym uśmiechem, strząsa ze swych pleców ramię chłopaka. Muzyka na nowo wypełnia salę. Kombi. Violetta wtóruje: „Słodkiego, miłego życia..." Ponosi ją taniec, szaleje. Przypadkiem wpada w objęcia jakiegoś chłopaka.

– Wszędzie, to znaczy gdzie?

– No, w innych dziedzinach. Czy potrafisz robić także coś innego niż oczarowywać chłopców na zabawach?

Ton, jakim mówi Alek, coraz bardziej irytuje Violettę. Dziewczyna żałuje, że zgodziła się z nim tańczyć. Po raz pierwszy spotkała chłopca, któremu nie wystarcza jej uroda, wdzięk, ciuchy, chłopca, który zamiast ją podziwiać i prawić jej komplementy, wyraźnie ją lekceważy, a nawet stroi sobie z niej żarty. To wszystko wprawia ją w zły humor. Światła dyskoteki wydają jej się jak gdyby przybladłe, muzyka nudna, ograna, a ona sama nie czuje się już tak wspaniałą, budzącą podziw „księżniczką", jak jeszcze przed chwilą.

– No, no, Fiołeczku – słyszy głos Alka – nie bocz się tak na mnie, bo mi się robi smutno. Opowiedz raczej coś o sobie...

*

Jeszcze ostatnie nagranie, „Comment ça va", i koniec dyskoteki. Disc-jockey żegna rozbawione nastolatki, zaprasza na następną zabawę. Violetta wychodzi z Alkiem. Tak się jakoś złożyło, że pomimo początkowych nieporozumień przetańczyli cały wieczór razem. Alek dowiedział się wiele o „słodkim życiu" Violetty, wypełnionym dyskotekami, kinem, wypadami za miasto z nieustannie zmienianymi chłopakami. Violetta chętnie opowiadała mu o swym życiu pięknym jak bajka, pełnym blasków, które przysłaniają tylko szkoła i mama. Bardzo nudna szkoła, gdzie trzeba uczyć się matematyki, chemii i biologii, i bardzo staroświecka mama, która cel życia widzi w pracy i płacze nad

najmilsza para roku '84

MARCO ANTONELLI HALINA BENEDYK

Co zostało w pamięci z tegorocznego sopockiego festiwalu? Jak można wnioskować z listów naszych Płomykowców, najtrwalej zapisała się w ich pamięci sympatyczna, pełna wdzięku para: przystojny, czarnowłosy Włoch, Marco, i jego polska partnerka, jasnowłosa Halinka. Śpiewali oni w polsko-włoskim duecie liryczną piosenkę „Frontiera" („Granica"). Ta właśnie para wzbudziła gorące owacje młodzieżowej publiczności w Operze Leśnej i śmiało można ją nazwać „najmilszą śpiewającą parą roku 84".

Słowa piosenki „Frontiera" napisał Janusz R. Strzelecki, Polak, który przed 12 laty osiadł na stałe we Włoszech, muzykę skomponował Włoch, Enzo Stellato. A jak doszło

goś blondyna. Otwiera na pół przymknięte oczy. Ten blondyn to chyba jakiś nowy, nigdy go tu nie widziała.

– Co się tak gapisz jak cielę na malowane wrota? – słyszy.

Chłopak jest rozbawiony, Violetta znacznie mniej. Nie przywykła do tego, żeby ktoś mówił do niej w ten sposób.

Chłopak uśmiecha się ironicznie, widząc jej obrażoną minę.

– No, no, nie gniewaj się, księżniczko.

– Obejdzie się bez księżniczki – odcina się.

– Tak? To świetnie! Na imię mam Alek. Zatańczymy?

Violetcie wraca dobry humor. Już znowu uśmiecha się słodko. Skinieniem głowy wyraża zgodę. Trochę drażni ją ten Alek , który nie przestaje jej się przyglądać z ironią.

– A jak ci na imię, księżniczko?

– Violetta.

– Nieźle. Mogę cię nazywać bardziej swojsko: „Fiołeczku"?

– Dlaczego nie?

„Fiołeczku – myśl Violetta – tak mnie jeszcze nikt nie nazywał, nawet ten Łukasz, który mnie tak nachalnie podrywał, a potem przepadł jak kamień w wodzie".

– Często bywasz w dyskotece? – budzi ją z zamyślenia pytanie Alka.

– No... Prawie co dzień. Używam życia.

W oczach Alka znowu pojawia się ten ironiczny błysk.

– Słodkiego, miłego... Prawda?

– A co myślałeś? Tyle mam z życia, ile się zabawię.

– No tak, naturalnie! – ironia w głosie Alka staje się coraz wyraźniejsza.

Violetta znowu obraża się:

– Skoro ci się wydaję taka śmieszna, to nie musisz ze mną tańczyć. Znajdą się inni chętni.

– Oczywiście! Któżby się nie ubiegał o taniec z tak wspaniałą dziewczyną! Ale nie gniewaj się, Fiołeczku. Podziwiam cię, że potrafisz wydobyć z życia tyle bogactwa. A wszędzie masz takie powodzenie jak w dyskotece?

Violetta wzrusza ramionami.

swą córką, nie wiadomo czemu. A trzeba wiedzieć, że Violetta nie znosi łez, ponieważ Violetta jest niezmiernie nowoczesna, a ludzie nowocześni powinni być twardzi, nie podlegać uczuciom i w ogóle – trzymać szpan.

Alek słuchał wyznań Violetty, przytakiwał jej, niby to zgadzał się z jej poglądami, lecz w głębi duszy miał ogromną ochotę zaśpiewać jej zamiast „Słodkiego, miłego życia..." – „Tańcz, głupia, tańcz..."

Rozstali się przed szpitalem, na przystanku tramwajowym. Alek wskoczył zaraz do „7", Violetta musiała poczekać na swoją „13". Usiadła na ławeczce. Spokojna, gwiaździsta noc wyciszała w niej dyskotekowy, szaleńczy rytm. Na ławeczce obok usadowiła się jakaś zakochana para. Dziewczyna była bardzo smutna, chyba nawet płakała. Chłopak obejmował ją, gładził po policzku.

– Nie martw się, kochanie – szeptał. – Wszystko będzie w porządku. Zrobią operację i twoja mama wróci do zdrowia.

Dziewczyna z ufnością podniosła na niego oczy.

– Tak sądzisz?

– No, jasne – chłopak uśmiechnął się do niej, dodając jej otuchy. – Niczego się nie bój, ja zawsze będę przy tobie...

Gwiaździsta noc wyciszała w Violetcie dyskotekowy rytm i w miarę, jak szał muzyki i blask świateł oddalał się, robiło jej się coraz chłodniej i smutniej. Nagle poczuła się samotna, opanowała ją niezgłębiona pustka. Właściwie zaczęła zazdrościć tej smutnej dziewczynie, która tak kochała swoją mamę i której miał kto powiedzieć: – „Niczego się nie bój, ja zawsze będę przy tobie..."

Patrząc na szare sylwetki tamtych dwojga Violetta nagle uświadomiła sobie, że jej wypełnione zabawą i śmiechem życie jest tylko kolorową maską, pod którą kryje się pustka i samotność.

Spokojna noc mrugała tysiącami gwiazd. Z oddali nadjechał tramwaj. Trzynastka.

Danuta z Hawiřova (CSRS)

do spotkania Marca Antonelli z piosenką i jej autorem? W ubiegłym roku p. Janusz został zaproszony na Capri, gdzie obradowało jury międzynarodowego plebiscytu na najlepszego piłkarza Europy. Tam właśnie poznał Marco zagorzałego kibica piłki nożnej, którego na Capri przywiodła chęć zdobycia autografów ulubionych piłkarzy. W zdobyciu autografów polskich piłkarzy, m.in. Bońka – dopomógł mu p. Janusz. I tak doszło do bliższej znajomości.

Marco, zapytany, czym się zajmuje – odpowiedział, że jest piosenkarzem i pokazał kasetę ze swoimi piosenkami. Piosenki spodobały się p. Januszowi i już następnego dnia Marco Antonelli zaśpiewał dla szerokiego audytorium złożonego ze sławnych piłkarzy i ich kibiców. Piosenkarz odniósł pełny sukces.

W parę miesięcy później jedna z wytwórni płytowych w Rzymie nagrała pierwszy longplay Marca i kasety z piosenkami w stylu neapolitańskim.

Na festiwal w Sopocie Marco przyjechał z piosenką „Favola", czyli „Bajka". „Frontierę" miał zaśpiewać poza konkursem, na zakończenie festiwalu. Stało się inaczej. Już w czasie pierwszej próby dyrektor orkiestry Jerzy Milian i reżyser programu Jerzy Gruza zdecydowali, aby włączyć ją do konkursu. I dobrze się stało. Piosenka zdobyła III nagrodę, a jej wykonawca wraz ze swoją towarzyszką – ogromną sympatię polskiej widowni, nie tylko festiwalowej.

Kim jest Marco?

Pierwszy swój piosenkarski sukces odniósł jako 9-latek na festiwalu muzycznym w Neapolu, śpiewając neapolitańskie piosenki. Pierwszy poważny występ zagraniczny 21-letniego Marca – to właśnie Sopot.

Przyjechał na festiwal z ojcem. Jest jednym z siedmiorga dzieci państwa Antonellich. Ojciec jest pracownikiem Związku Zawodowego Kolejarzy. Matka zajmuje się domem i dziećmi. Z całej rodziny śpiewa tylko jeden Marco. Zapytany, co mu się podoba w naszym kraju, odpowiedział, że polskie jasnowłose dziewczęta i... zieleń, której tak wiele wszędzie.

Skąd się wzięła Halinka?

Halina Benedyk startowała już dwukrotnie na festiwalach piosenki radzieckiej w Zielonej Górze. Raz jako zupełnie mała dziewczynka, a w ubiegłym roku już jako 18-latka, wyśpiewała „Brązowy Samowar".

A jak trafiła na międzynarodową imprezę w Sopocie? Była to dla niej samej zupełna niespodzianka.

Wróciła właśnie z wakacji, a tu telegram z Sopotu od jej opiekuna muzycznego Gerarda Nowaka (muzyka z orkiestry J. Miliana), że ma się natychmiast zjawić w Sopocie. Po godzinie była już spakowana, a nad ranem – niewyspana, utrudzona, zameldowała się w Biurze Festiwalowym.

W godzinę później odbyła się pierwsza i ostatnia próba przed wielkim występem. Głos na próbie drżał z przejęcia, emocji i lęku, jak wypadnie jako partnerka Marca. Okazało się, że świetnie potrafiła wejść w swoją rolę. Można zatem śmiało powiedzieć, że na sukces Marca zapracowała także Halinka.

Po festiwalu Marco i Halinka rozjechali się do swoich miast. Każde z nich poszło swoją drogą... Obojgu życzymy, aby to były szczęśliwe drogi.

A na pamiątkę tegorocznych piosenkarskich emocji ofiarowujemy Wam plakat z Marco i Halinką z ich dedykacjami napisanymi specjalnie dla Płomykowców.

GRAŻYNA MINKOWSKA

PŁOMYK
..... granica
..... frontiera

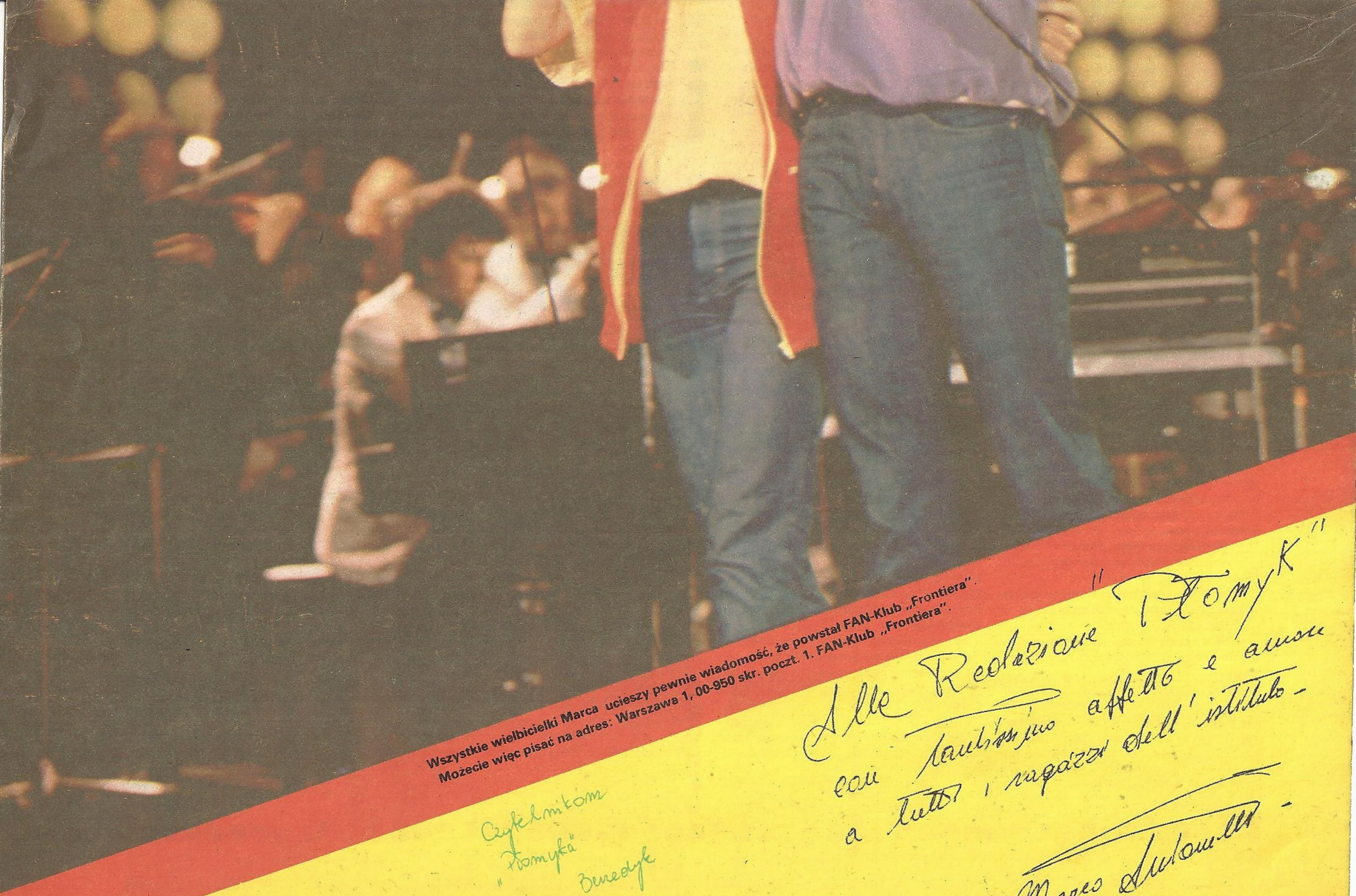

**Wszystkie wielbicielki Marca ucieszy pewnie wiadomość, że powstał FAN-Klub „Frontiera".
Możecie więc pisać na adres: Warszawa 1, 00-950 skr. poczt. 1. FAN-Klub „Frontiera".**

Czytelnikom
„Tomyka"
Halina Benedyk

Alle Redazione "Tomyk"
con tantissimo affetto e amore
a tutti i ragazzi dell'istituto -

Marco Antonelli

KRZYŻÓWKA Z IDOLEM

Objaśnienia haseł na str. 30

Marco Antonelli

Fot. Krystyna Andryszkiewicz

CENA 12 zł